

PISMA HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XVII.

PISMA
HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM XVII

304262

RODZINA POŁANIECKICH
CZEŚĆ III.

WARSZAWA
NAKLAD REDAKCYI TYGODNIKA ILLUSTRWANEGO
(DODATEK BEZPŁATNY)
1900



78953

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Ноября 1859

XIX.

Jesień w ostatnich swych dniach uśmiecha się jeszcze czasem do ludzi ogromnie smutno, ale zarazem i pogodnie, jak umierająca na suchoty kobieta. W taki pogodny dzień wypadł właśnie pogrzeb Litki. Jest w tem boleść pomieszana z pewną pociechą, że ludzie, którzy zostają, myślą i czują w dalszym ciągu za swoich zmarłych. Połanieckiego, który zajmował się pogrzebem, ów pogodny i smutny dzień przejął jeszcze większym smutkiem, ale, podstawiając się w uczucia Litki, pomyślał, że dziecko właśnie sobie takiego dnia życzyło — i znalazł w tem pewną ulgę. Aż do tej chwili nie umiał wprost zmierzyć głębi swojego żalu. Taka świadomość przychodzi później, a zaczyna się dopiero wówczas, gdy kochana istota zostaje na cmentarzu, a człowiek wraca sam do pustego domu. Prócz tego, zajęcia pogrzebowe pochłonęły Połanieckiemu wszystek czas. Życie oto-

czyło sztucznemi formami i utrudniło nawet tak prosty akt, jakim jest śmierć. Polaniecki chciał oddać Litce jeszcze tę ostatnią usługę, którą zresztą nie miał się kto zająć. Wszystkie te sprężyny życia, na mocy których człowiek myśli, postanawia i działa, zostały w pani Emilii przez śmierć dziecka podcięte. Wiatr okazał się tym razem zbyt silny na welnę jagnięcia. Na szczęście jednak, zbyt wielka boleść zabija samą siebie, albowiem odrętwia serce ludzkie. To stało się z panią Emilią. Polaniecki zauważył, że panującym wyrazem jej twarzy i oczu było bezmierne, zastygłe przerażenie. Jak w oczach jej nie było łez, tak w ustach słów, tylko jakiś szept tragiczny i zarazem dziecinny, dowodzący, że myśl jej nie ogarnia nieszczęścia, lecz krąży wokół towarzyszących mu drobiazgów, czepia się ich i otacza je troskliwością taką, jakby dziecko żyło jeszcze. W pokoju, zmienionym w żalobną świetlicę, Litce, uspiionej wśród kwiatów na atlasowej poduszce, nie mogło braknąć niczego; tymczasem zdziecinniałe z bólu serce matki zwracało się ustawicznie do tego, czego dziecku mogło braknąć. Gdy ją próbowano oderwać od ciała, nie stawiała oporu, tylko traciła resztę przytomności i poczyniała jęczeć, jakby jej zadawano ból nad siły.

Polaniecki i Chwastowski, brat męża, który

przybył przed samym pogrzebem, usiłowali ją wyprowadzić w chwili, gdy Litkę przykrywano wiekiem; lecz gdy pani Emilia poczęła wolać małej po imieniu, obydwom nie stało odwagi. Kondukt ruszył wreszcie, wśród pochodni, liczny, ciągnący za sobą ogon karet, poprzedzany przez księży i posepny śpiew, a z miejsca otoczony gromadą ciekawych, którzy w nowożytnych miastach tak pasą oczy ludzką boleścią, jak w starożytnych pasiono je ludzką krwią po cyrkach. Pani Emilia, prowadzona przez brata męża, mając obok siebie Marynię, szła tuż za karawanem, z twarzą suchą i bezduszną. Oczy jej widziały teraz tylko jeden szczegół i myśl zajmowała się nim wyłącznie. Oto zdarzyło się, że jedno pasemko płowych, niezmiernie obfitych włosów Litki zostało na zewnątrz trumny. Pani Emilia przez całą drogę nie spuszczała z niego oczu, powtarzając co chwila: «O Boże, Boże! przycięli dziecku włosy!»

W Polanieckim żal, zmęczenie, nerwowy rozstrój z powodu bezsenności — zmieniły się w poczucie tak nieznośnego ciężaru, że chwilami chwytala go nieprzezwyjężona chęć zawrócić z pól drogi, pójść do siebie, rzucić się na jaką sofę, nie myśleć o niczem, nie chcieć niczego, nie kochać nikogo, nie czuć nic. I jednocześnie ten odruch samolubstwa dziwił go i oburzał

przeciw sobie samemu; jednocześnie wiedział, że nie zawróci, że wypije ten kielich aż do dna, pójdzie aż do końca, nietylko dlatego, że tak wypada, ale dlatego, że żał za Litką i przywiązanie do niej będą silniejsze od egoizmu. Czuł też teraz doskonale, że wszystkie inne jego uczucia skurczyły się, zwiędły i że dla całego świata ma w sercu, w tej przynajmniej chwili, wielkie nic. Zresztą jego myśli i uczucia wpadły w zupełny bezład, złożony z wrażeń zewnętrznych, uświadamianych bardzo pobieżnie, ze spostrzeżeń czynionych niewiadomo dlaczego i pomieszanych zupełnie mechanicznie z uczuciem żalu i zmartwienia. Chwilami patrzył na domy, koło których przechodził kondukt, i rozróżniał ich kolory; chwilami wpadał mu w oczy jakiś szyld sklepowy, który odczytywał, nie wiedząc, z jakiego powodu to czyni; to znów myślał, że oto księża przestali śpiewać, ale zaraz zaczynają i czekał tylko ponownego zerwania się żalobnych głosów, jakby z pewną obawą. Czasem rozmawiał tak, jak człowiek, który, budząc się ze snu, chce sobie zdać sprawę z rzeczywistości: «To są domy, — mówił sobie — to szyldy, to zapach smoły z pochodni, a tam w górze leży Litka, i idziemy na cmentarz...» I nagle zrywała się w nim fala żalu za tem słodkim, kochanem dzieckiem, za tą drogą główką, która tyle razy

uśmiechała się do niego. Przypominał ją sobie z dawniejszych i z ostatnich czasów; przypominał z Reichenhallu, gdy ją niósł, wracając z Thumsee; a dalej na wsi u Bigielów, i w mieszkaniu pani Emilii, gdy mówiła, że chciałaby być brzoźką — i wreszcie, gdy na kilka godzin przed śmiercią prosiła Maryni, by za niego wyszła. Połaniecki nie mówił sobie wprost, że Litka kochała się w nim, jak dorosła kobieta, i że, zaręczając go z Marynią, uczyniła akt ofiary, bo i w rzeczywistości nieświadomione uczucia dziewczynki nie dałyby się może tak ściśle określić; czuł jednak doskonale, że było to coś podobnego, i że ofiara miała miejsce, wypłynęła zaś z tego głębokiego i wyjątkowego przywiązania, jakie dziecko dla niego czuło. Ponieważ stratę najdroższych nawet osób odczuwa się przeważnie za pomocą szkody, jaką się osobiście ponosi, więc Połaniecki jął teraz powtarzać sobie: «To była jedyna dusza prawdziwie mnie kochająca! Nie mam teraz nikogo na całym świecie...» I podniósłszy oczy na trumnę, ku temu pasemku płowych włosów, które kołysało się w powietrzu, począł wołać w duszy na Litkę tymi wszystkimi tkliwymi wyrazami, którymi przemawiał do niej za życia. Wreszcie uczuł, że lży duszą go, gdyż to jest wołanie bez echa. Jest coś rozdzierającego

w obojętności zmarłych. Gdy istota, która odczuwała każde spojrzenie, staje się obojętną, kochająca — lodowatą, bliska w codziennem życiu i najbliższa w sercu — uroczystą i daleką, nic nie pomoże powtarzać sobie: «Śmierć! śmierć!» Obok całej boleści, płynącej ze straty, czuje się jeszcze jakby rozdzierający zawód, jakby serdeczną krzywdę, wyrządzoną przez to martwe ciało, które pozostaje głuchem na naszą boleść, nasze wołanie. Polaniecki miał również na dnie duszy uczucie, że Litka, odejmując mu się i idąc w kraj śmierci, wyrządziła mu jakby krzywdę, a przytem z istoty blizkiej stała się daleką, z poufalej uroczystą — czemś odległym, wysokim, świętem, a zarazem zupełnie obojętnem na rozpacz matki i na głębokie osamotnienie najbliższego przyjaciela. Było w tych uczuciach Polanieckiego wiele egoizmu, ale gdyby nie ów egoizm, który przedewszystkiem własną stratę i własne opuszczenie ma na myśli — ludzie, zwłaszcza wierzący w zagrobowe życie i w zagrobowe szczęście, nie żalowałiby umarłych.

Kondukt wyszedł wreszcie z miasta na otwarsze, widniejsze przestrzenie, i za roгатką posuwał się wzdłuż cmentarnego muru, przybranego w girlandy żebraków i w girlandy z nieśmiertelników i z choiny, przeznaczone na groby. Szeregi księży w białych komżach, służba po-

grzebowa z pochodniami, karawan z trumną i ludzie idący za nim zatrzymali się przed bramą, poczem zdjęto Litkę, i Polaniecki, Bukacki, Chwastowski i Bigiel ponieśli ją do grobu ojca.

Ta cisza i pustka, która po każdym pogrzebie czeka dopiero w domu na ludzi wracających od świeżych grobów, zdawała się tym razem poczynać już na cmentarzu. Dzień był pogodny, blady; z drzew tu i owdzie splywały bez szelestu ostatnie pożółkłe liście; orszak pogrzebowy zmalal wśród tych rozległych bladych przestrzeni, które, usiane krzyżami, zdawały się nie mieć końca, jakby naprawdę cmentarz ów otwierał się na nieskończoność. Czarne, bezlistne drzewa, o wierzchołkach złożonych z cienkich i jakby roztopionych w świetle gałązek, podobne do widziadel szare i białe pomniki, zwiędłe liście pokrywające długie i proste aleje, wszystko to razem czyniło istotnie wrażenie jakichś pól Elizejskich, pełnych głębokiego spokoju, ale i głębokiej sennej melancholii, jakichś «miejsce zimnych i smutnych», o których marzyła posępna głowa Cezara, i którym miała teraz przybyć jedna więcej «animula vagula».

Trumna stanęła wreszcie nad otwartym grobem. Ozwało się rozzwierające: «Requiem aeternam», a następnie: «Anima ejus». Polaniecki, przez chaos swych myśli i wrażeń, oraz przez

zaslonę własnego żalu, widział, jak we śnie, skamieniałą twarz i szklane oczy pani Emilii, lzy Maryni, które go drażniły w tej chwili, blade policzki Bukackiego, z którego rysów widać było wyraźnie, że jego życiowa filozofia, nie mając nic do roboty na tym cmentarzu, opuściła go przed bramą, — i trumnę z Litką. Gdy na wieko rzucono garść piasku — on poszedł za przykładem innych, gdy zaś po spuszczeniu na pasach trumny w głąb grobu, zamykano kamienne drzwi, znów porwało go coś za gardło, tak, że wszystko, o czym myślał i co uświadamiał dzisiaj, zmieniło się w jedną nicłość. W duszy powtarzał proste słowa: «Do widzenia, Lituś!» — które później, gdy je sobie przypomniiał, wydały mu się również niczem w stosunku do jego męczącej duchowej burzy — i na tem koniec. Orszak pogrzebowy zaczął się zmniejszać i topnieć. Polanieckiego rozbudził po jakimś czasie wiatr, który nadciągał zdala, z pomiędzy krzyżów. Przy grobie spostrzegł teraz panią Emilię z Marynią, Bigielową, Waskowskim i stryjem Litki. Powiedział sobie, że wyjdzie ostatni — i czekał, powtarzając znów w duszy słowa: «Do widzenia, Lituś!» — i myśląc o śmierci, o tem, że on także przyjść musi do tego miasta nagrobków, i że to jest ocean, w który spłyną wszystkie myśli, zabiegi, uczucia... Wydało mu się teraz,

jakby on i wszyscy, co tam stali przy tym grobie lub odeszli, byli na okręcie, który dąży wprost do przepaści. O życiu pozagrobowym w tej chwili nie myślał.

Tymczasem nadszedł prędki jesienny zmrok. Krzyże stały się jeszcze bledsze. Stary profesor i Chwastowski poprowadzili panią Emilię ku drzwiom ementarnym, bez żadnego z jej strony oporu. Polaniecki powtórzył raz jeszcze: «Do widzenia, dziecinko!» — i wyszedł.

Za bramą pomyślał:

— Szczyściem, że matka nieprzytomna, bo co za straszna myśl, że dziecko zostało tam samo! Zmarli opuszczają nas, ale i my ich opuszczamy.

Jakoż zdała ujrzał kareteę, w której odjeżdżała pani Emilia — i wydawało mu się, że taki porządek rzeczy na świecie ma w sobie coś oburzającego.

Sam jednak, wsiadłszy do dorożki, doznał chwili egoistycznej ulgi, płynącej z poczucia, że skończył się jakiś akt męczący i ciężki, po którym nastąpi odpoczynek. Po powrocie, własne mieszkanie wydało mu się czcze, bez promyka wesołości, bez otuchy i nadziei; ale gdy przy herbacie wyciągnął się na sofie, ogarnęło go zwierzęce zadowolenie z wypoczynku po trudzie — uczucie ulgi, a nawet jakby zadowolenie

z tego, że pogrzeb skończony i Litka pochowana, ogarnęło go po raz drugi. Przypomnił sobie wówczas zdanie jakiegoś myśliciela: «Nie znam zbrodniarzy, znam tylko ludzi uczciwych — i ci są ohydni». Polaniecki wydawał się sobie w tej chwili obrzydliwym.

Wieczorem przypomniał sobie, że trzeba dowiedzieć się jednak o panią Emilię, którą Marynia miała zabrać na kilka tygodni do siebie. Wychodząc, spostrzegł na stole fotografię Litki i ucałował ją. W kwadrans później zadzwonił do Pławickich.

Służący powiedział mu, że pan wyszedł, ale prócz pani Chwastowskiej, jest profesor Wasowski i ksiądz Chylak. W saloniku przyjęła go Marynia, źle uczesana, z czerwonymi oczyma, prawie brzydka. Natomiast dawniejszy sposób jej obejścia się z nim zmienił się zupełnie, jakby Marynia zapomniała o wszystkich urazach wobec rzeczy bardziej nieszczęsnych.

— Emilka jest u mnie — zaczęła szeptać. — Źle się ma, ale zdaje się, że przynajmniej rozumie, co się do niej mówi. Jest przy niej profesor Waskowski... On tak z serca mówi... Czy pan chce koniecznie widzieć Emilkę?

— Nie, pani. Przyszedłem tylko dowiedzieć się, jak się ma, i zaraz idę.

— Nie wiem... może ona zechce pana zoba-

czyć. Niech pan chwilę odpocznie, a ja pójdę tam i wspomnę, że pan przyszedł. Litka tak pana kochała, że dla tego samego może Emilce będzie miło widzieć pana.

— Dobrze — rzekł Połaniecki.

Marynia odeszła do przyległego pokoju, ale widocznie nie mogła zaraz zacząć rozmowy. Połanieckiego bowiem doszedł przez odemknięte drzwi nie jej głos, lecz głos Waskowskiego, pełen akcentów głębokiego przekonania, a przytem jakby wysilenia, starającego się przebić pancierz nieczułości i boleści.

Stary profesor mówił:

«.... To tak, jakby wyszła do drugiego pokoju po zabawkę — i jakby miała zaraz wrócić... Ona nie wróci, ale pani pójdiesz do niej. Moja droga pani, patrz na śmierć nie od strony ziemi, ale od strony Boga. Dziecko żyje i szczęśliwe, bo samo będąc w wieczności, patrzy na to rozłączenie się wasze jak na jedno mgnienie oka. Litka żyje, — mówił dalej z naciskiem — żyje i szczęśliwa. Ona widzi, że pani idziesz ku niej, i wyciąga do ciebie ręce, i wie, że za chwilę nadejdiesz, bo ze strony Boga życie i boleść to mniej, niż mgnienie oka — a potem wieczność, razem — z Litką, pomyśl, najdroższa pani — z Litką, w spokoju, w weselu.... bez

chorób, bez śmierci. Światy miną, a wy będziecie razem...»

A Polaniecki pomyślał z goryczą:

— Dobrzeby było, gdyby to było pewne...

Po chwili zaś:

— Gdybym tak czuł, tobym miał po co tam wchodzić. Inaczej nie!

Jednakże, wbrew tej myśli, wszedł, nie czekając nawet na powrót Maryni, bo wydało mu się, że jeśli nie miał powodu, to miał powinność, i że nie wolno mu tchórzyć przed cudzą boleścią. Egoizm jest «bawelną w uszach od ludzkiego jęku», a tłómaczy się sam przed sobą, że wielkiej boleści nie można powiedzieć nic takiego, coby ją pocieszyło. Polaniecki rozumiał, że tak jest, i wstyd mu było cofać się wygodnie, zamiast pójść naprzeciw żalowi matki. Wszedłszy, spostrzegł panią Emilię siedzącą na sofce; nad sofką stała lampa, a poniżej palma, która rzuciła na tę nieszczęsną głowę cień, jakby olbrzymich rozpostartych nad nią palców. Przy pani Emilii siedział Waskowski i, trzymając ją za rękę, patrzył w jej twarz. Polaniecki odjął mu te ręce i, pochyliwszy się ku nim, począł je w milczeniu do ust przyciskać.

Pani Emilia mrugała chwilę oczyma, jak ktoś usiłujący rozbudzić się ze snu, poczem nagle zawołała z niespodzianym wybuchem:

— Pamięta pan, jak ona...

I porwał ją płacz ogromny, przy którym ściskają się ręce, usta nie mogą tchu złapać i piersi pękają od łkań. W końcu zabrakło jej sił i zemdląła. Gdy przyszła znów do siebie, Marynia wyprowadziła ją do swego pokoju. Połaniecki z Waskowskim wyszli do przyległego saloniku, gdzie ich zatrzymał Pławicki, który tymczasem wrócił z miasta.

— Taka smutna osoba w domu — rzekł im — to bardzo psuje życie; należałoby mi się trochę spokoju i swobody, ale cóż robić, cóż robić!... Muszę zejść na drugi plan, i gotów jestem...

Po upływie pół godziny przyszła na chwilę Marynia z doniesieniem, że pani Emilia położyła się na jej prośby i że jest nieco spokojniejsza. Połaniecki i Waskowski poczęli się żegnać i wyszli.

Szli w gęstej mgle, która nocą wstała od ziemi po dniu pogodnym, przesłaniając ulice i czyniąc kolo latarni różnobarwne kręgi. Obaj rozmyślali o Litce, która spędzała pierwszą noc zdala od matki, wśród zmarłych. Połanieckiemu wydało się to wprost straszne, nie dla Litki, ale dla pani Emilii, która musiała o tem myśleć. Rozważał sobie również słowa Waskowskiego, mówione do niej, i w końcu ozwał się:

— Słyszałem, co pan mówił... Jeśli jej to

sprawiło ulgę, to dobrze; ale widzi pan, żeby to był pewnik, to powinniśmy sobie teraz... bo ja wiem?... chyba ucztę wyprawić i cieszyć się, że Litka umarła.

— A skąd wiesz, że się nie będziemy cieszyli po śmierci?

— To pan powiedz, skąd wiesz, że tak będzie?

— Ja nie wiem, ja wierzę.

Na to nie było co rzec — więc Połaniecki mówił, jakby do siebie:

— Miłosierdzie, empiryjskie światło, wieczność — połączenie — a w rzeczywistości co? — trup dziecka na cmentarzu i matka, która wije się z bólu... Niechby śmierć rodziła przynajmniej tę pańską wiarę, ale ona rodzi zwątpienie. Bo panu jednak tego dziecka żal, a mnie jeszcze więcej, i ten żal wprost narzuca mi pytanie: dlaczego ona umarła? po co takie okrucieństwo? Wiem, że to głupie pytanie, i że miliardy ludzi je sobie zadawały; ale jeśli to ma być pociecha, to niechże ją piorun trzaśnie! Wiem także, że nie znajdę odpowiedzi, ale dlatego chce mi się zgrzytać i kłać... Nie rozumiem — i buntuję się — ot i wszystko! To cały skutek, którego i pan nie możesz uznać za pożądaną.

Waskowski odpowiedział również, jakby mówił sam do siebie:

— Chrystus zmartwychwstał, bo był Bogiem, ale jako człowiek, i on przeszedł przez śmierć. Cóż ja, lichy robak, mogę innego uczynić, jak wielbić wolę i mądrość bożą w śmierci?

Na to Polaniecki odrzekł:

— Z panem niema co mówić.

— Ślizko jest, — odrzekł Waskowski — podaj mi rękę.

I wzięwszy Polanieckiego pod ramię, wsparł się na nim i mówił dalej:

— Mój drogi! ty masz poczciwe i kochające serce, ty bardzo kochałeś tę małą, byłbyś wiele dla niej uczynił — nie prawda? — zróbże jeszcze to jedno: wierzysz, czy nie wierzysz, zmów za nią: «Wieczny odpoczynek...» Jeśli myślisz, że jej się to na nic nie przyda, powiedz sobie: «Więcej jednak nie już dla niej nie mogę, a to jedno mogę...»

— Daj mi pan spokój! — odpowiedział Polaniecki.

— Jej to może być niepotrzebne, ale jej będzie miła pamięć twoja, ona będzie ci wdzięczna i wyprosi ci łaskę bożą.

Polaniecki wspomniał, jak Waskowski, na wieść o ostatnim ataku Litki, mówił, że życie dziecka nie może być bezcelowem, i że jeśli ono

ma umrzeć, to prawdopodobnie przeznaczonem mu jest przed śmiercią coś spełnić. I teraz chciał napaść z tego powodu na Waskowskiego, gdy nagle uderzyła go myśl, że jednak Litka przed śmiercią połączyła go z Marynią.

I mimowoli nasunęło mu się pytanie: «A może ona dlatego żyła?» Lecz w tejże chwili począł się buntować przeciw tej myśli. Chwycił go nagły gniew na Marynię, pelen zawziętości i niemal pogardy.

— Ja nie chcę tamtej za taką cenę — pomyślał, ścisnąwszy zęby. — Nie chcę! Dość sam się przez się namęczyłem. Oddałbym takich dziesięć za jedną Litkę!

A tymczasem Waskowski, drepcąc koło niego, mówił:

— Nie widać nic na krok i kamienie oślizgły od mgły. Żeby nie ty, byłbym się już dawno przewrócił.

A Polaniecki ochłonął i odrzekł:

— Bo widzisz, panie profesorze, kto chodzi po ziemi, musi na dół patrzeć, nie do góry.

— Ty masz dobre nogi, mój kochany.

— I oczy, które widzą jasno, nawet w takiej mgłę, która nas otacza. Bo my wszyscy żyjemy we mgłę, a za nią licho wie co jest. Wszystko, coś pan mówił, robi mi takie wrażenie, jakby ktoś kruszył suche gałązki, rzucal

je w potok i mówił, że z tego będą kwiaty. Będzie zgnilizna i nic więcej... Mnie także coś ten potok porwał, z czego myślałem, że będzie kwiat. Głupstwo!... Ale, ot, pańska brama — dobranoc!

I rozstali się. Połaniecki wrócił do siebie ledwie żywy ze zmęczenia, i położywszy się, począł się w dalszym ciągu męczyć myślami, a raczej widzeniami. Naprzód stanęła mu przed oczyma ubezwładniona bólem postać pani Emilii, siedząca w saloniku Maryni, pod liściem palmowym, który zwieszał się nad jej głową, jak ogromna, złowroga ręka, z rozpostartymi, drapieżnymi palcami, i rzucił cień na jej twarz. «Mógłbym nad tem filozofować do jutra rana — mruzczał do siebie. — Wszystko, z czego się składa życie, to taka ręka, od której pada cień — nic więcej! Bo gdyby przytem było jeszcze trochę miłosierdzia, toby to dziecko nie umarło — a tem, co mówi Waskowski, i wróbel się nie nakarmi».

Tu jednak przypomniawszy sobie, iż Waskowski nie tylko mówił o śmierci, ale prosił go jeszcze, by zmówił za Litkę «Wieczny odpoczynek». Połaniecki począł teraz walczyć z sobą. Brak głębszej wiary, by Litka mogła słyszeć jego «Wieczny odpoczynek», i by mógł on się jej na co przydać, zamykał mu usta. Czuł przytem

jakby pewien wstyd mówić słowa, które nie płynęły z głębi jego przekonania, a jednocześnie czuł taki sam wstyd nie uczynić tego. »Bo wreszcie, co ja wiem? — myślał. — Nic. Naokół mgła i mgła. Prawdopodobnie nic jej z tego nie przyjdzie, ale, bądź co bądź, jest to istotnie jedyna rzecz, którą mogę jeszcze uczynić dla mojego «kociątka», dla tego drogiego dziecka, które w dniu śmierci myślało o mnie».

I czas jakiś wahał się jeszcze, poczem jednak klęknął na łóżku i mówił: «Wieczny odpoczynek».

Nie przyniosło mu to wszelako żadnej pociechy, bo rozbudziło tylko tem większy żal za Litką, a jednocześnie złość na Waskowskiego za to, że go zapędził w położenie, w którem musiał albo wpaść w sprzeczność z samym sobą, albo zdradzić niejako Litkę. Poczul wreszcie, że ma dość tego rodzaju szarpaniny, i postanowił nazajutrz pójść od rana do biura i zająć się wraz z Bigielem pierwszą lepszą sprawą handlową, byle tylko oderwać myśl od tego bolesnego, błędnego koła, w którem się od kilku dni kręcił.

Lecz nazajutrz Bigiel uprzedził go i przyszedł sam do niego, może także w tym celu, by go zająć czem innym. Połaniecki rzucił się z pewną chciwością do rozpatrywania bieżących

interesów — nie mogli jednak obaj z Bigielem długo się nimi zajmować, bo w godzinę później zjawił się i Bukacki z pożegnaniem.

— Jadę dziś do Włoch, i Bóg wie, kiedy wrócę — rzekł. — Chciałem wam powiedzieć: Bądźcie zdrowi! Śmierć tego dziecka dotknęła mnie więcej, niżem się spodziewał...

— I dlatego wyjeżdżasz?

— Dużoby o tem mówić. U nas, widzisz, to się tak powiada, że się jest buddystą, czy też czem ci się podoba — a w gruncie rzeczy trochę się wierzy, trochę ufa w... jakieś miłosierdzie... i tem się żyje. Tymczasem co? Oto rzeczywistość bije nas codzien po fizyognomii -- i wprowadza w duchową rozterkę, w zmartwienie, w moralny ucisk. Tu się wiecznie coś albo kogoś kocha, wiecznie się cudzem nieszczęściem martwi, a ja tego nie chcę. To mnie męczy...

— W czem ci pomogą Włochy?

— W czem mi pomogą? Bo tam mam słońce, którego tu nie mam; mam sztukę, której tu nie mam, a do której czuję słabość; mam *chianti*, które mi dobrze robi na katar żołądka, i w końcu mam ludzi, którzy mnie nic a nic nie obchodzą i którzy mogą sobie setkami umierać bez żadnej dla mnie przykrości. Będę patrzył na obrazy, będę sobie kupował, co mi potrzeba, pielęgnowałem swoje reumatyzmy, swój ból głowy, i będę

sobie mniej więcej wykwintnem, mniej więcej sytem i mniej więcej zdrowem zwierzęciem — co, wierz mi, jest jeszcze najbardziej pożądanym rodzajem i stanem życia. Tu nie mogę być dostatecznie bydlęciem, a z duszy chcę niem być.

— Masz rację, Bukacki. My oto, widzisz, siedzimy w rachunkach, także trochę dlatego, żeby się skretynizować i nie myśleć o czem innym. Jak zrobimy taki majątek, jaki ty masz, to — nie wiem, jak Bigiel — ale ja pójdę twoim śladem.

— Zatem, do widzenia w czasie i przestrzeni! — rzekł Bukacki.

W chwilę po jego wyjściu Polaniecki rzekł:

— On ma słusność. Ile jabym był naprzykład szczęśliwszy, gdybym się nie był przywiązał do tego dziecka i do pani Emilii. My jesteśmy pod tym względem nieuleczalni i psujemy sobie dobrowolnie życie. On ma słusność. Tu zawsze się coś lub kogoś kocha. To dziedziczna choroba... Wieczny reumatyzm, wieczny sentymentalizm — i wieczne kolki w sercu...

A Bigiel rzekł:

— Klania ci się stary Pławicki. Ten nie kocha nikogo, prócz siebie.

— W rzeczywistości może tak jest, ale jemu brak i rozumu i odwagi, żeby sobie powiedzieć,

że tak wolno i tak trzeba. Owszem. Jest przekonany, że trzeba inaczej, i przez to jest w ciągłej niewoli. Tu, choć ktoś ma taką naturę, jak on, to jeszcze musi udawać, nawet przed sobą samym, że coś lub kogoś kocha.

— A będziesz dziś u pani Emilii? — spytał Bigiel.

— Naturalnie! Gdybym ci naprzykład powiedział, że mam malaryę, to tem samem jeszczebym się z niej nie wyleczył.

I rzeczywiście, nietylko tego dnia był u pani Emilii, ale był dwa razy, albowiem za pierwszą bytnością nie zastał tych pań w domu. Pławicki, na zapytanie, gdzie jest córka, odpowiedział mu z odpowiednim patosem i rezygnacją: «Ja nie mam teraz córki!» — Polaniecki, nie chcąc mu nawymyślać, do czego uczul nagłą ochotę, wyszedł i powrócił dopiero wieczorem.

Tym razem wyszła znów do niego sama Marynia i oznajmiła mu, że pani Emilia zasnęła po raz pierwszy od pogrzebu Litki. Mówiąc to, trzymała czas jakiś rękę w jego dłoni. Polaniecki, mimo całej rozterki, w jakiej były jego myśli, nie mógł tego nie zauważyć, a gdy spojrział wreszcie pytającym wzrokiem w jej oczy, dostrzegł, że policzki panienki zarumieniły się lekko. Tymczasem siedli obok siebie i poczęli rozmawiać.

— Byłyśmy na Powązkach, — rzekła Marynia — i obiecałam Emilice, że będziemy tam jeździły codziennie.

— Czy to dla niej dobrze, tak sobie co dnia przypominać dziecko i rozdzierać rany?

— Ach, alboż one zaschły? — odpowiedziała Marynia — i czy jest możność powiedzenia jej: «Nie jedź!» Ja sama myślałam, że to będzie niedobrze, ale przekonałam się, że przeciwnie. Na Powązkach płakała bardzo, ale było jej lepiej. Wracając, przypomniała sobie, co jej mówił profesor Waskowski — i ta myśl to dla niej jedyna pociecha — jedyna!

— Niechże ma choć taką — odpowiedział Połaniecki.

— Widzi pan, ja nie śmiałam jej z początku wspomnieć o Litce, ale ona ciągle o niej mówi. Niech pan także nie obawia się mówić jej o niej, bo to jej sprawia widocznie ulgę...

Tu panienska poczęła opowiadać jeszcze bardziej zniżonym i jakby niepewnym głosem:

— Ona sobie ciągle wyrzuca, że tej ostatniej nocy posłuchała zapewnień doktora i poszła spać. Jej żal tych straconych chwil, które mogła spędzić z Litką, i ta myśl nurtuje ją. Dziś, gdy wróciłyśmy z cmentarza, poczęła mnie wypytywać o najdrobniejsze szczegóły: jak dziecko wyglądało, jak długo spało, czy brało lekarstwo

i co przytem mówiło, czy odzywało się do nas?... Przytem zaklinała mnie, żebym sobie przypomniała wszystko i żebym nie opuściła żadnego słowa.

— I pani nie pominęła niczego?...

— Nie.

— Jak ona to przyjęła?

— Bardzo, bardzo płakała.

Oboje umilkli i milczeli dość długo, poczem Marynia rzekła:

— Pójdę zobaczyć, co się z nią dzieje.

Po chwili wróciła:

— Śpi — rzekła. — Chwała Bogu!

Jakoż Połaniecki nie widział tego wieczora pani Emilii, która zapadła jakby w letargiczny sen. Przy pożegnaniu Marynia znów uścisnęła długo i silnie jego rękę i niemal z pokorą spytała:

— Pan mi nie ma za złe tego, że ja powtórzyłam Emilce ostatnie życzenie Litki?

— W takich chwilach — odpowiedział Połaniecki — nie umiem myśleć o sobie. Mnie chodzi tylko o panią Emilię, i jeśli słowa pani sprawiły jej ulgę, to pani za nie dziękuję.

— Więc do jutra? prawda?

— Do jutra.

Połaniecki pożegnał się i wyszedł, a schodząc ze schodów, myślał:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

I nie mylił się. Marynia uważała go za narzeczonego. Nie był on jej nigdy obojętnym; owszem, siła urazy była w niej miarą tego niezwykłego zajęcia, jakie w niej obudził. A przytem, w czasie choroby i pogrzebu Litki mógł on sam odkrywać w sobie niezgłębione pokłady egoizmu — jej wydał się tak dobrym, że po prostu nie miała go z kim porównać. Reszty dokonały słowa Litki. W istocie rzeczy jej serce pragnęło przedewszystkiem kochać — i teraz — skoro raz przyrzekła Litce w chwili jej śmierci, skoro raz zobowiązała się do kochania i do zamążpójścia, wydało się jej, że gdyby nawet nie kochała, powinna to sobie nakazać — i że nie wolno jej już nie kochać. Polaniecki wszedł w sferę jej obowiązku, należała zaś do tych prostych kobiecych natur, dotychczas wcale jeszcze nie rzadkich, dla których życie i obowiązki znaczą jedno i to samo, i które dlatego do obowiązku wnoszą dobrą wolę, i nie tylko dobrą, ale bardzo wytrwałą.

Taka zaś wola prowadzi za sobą miłość, która świeci jak słońce, grzeje jak jego ciepło i koi jak błękitne, pogodne niebo. W ten sposób życie nie staje się suchym krzakiem cierniowym, który kole, tylko kwiatem, który kwitnie i upaja.

Ta, prawa w myślach a zarazem prosta i delikatna w uczuciach, wiejska panna posiadała ową zdolność do życia i do szczęścia w najwyższym stopniu.

To też, gdy Polaniecki odszedł, ona, rozmyślając o nim, nie nazywała go już w duszy inaczej, tylko «Pan Stach!» Bo też to już i był jej «Pan Stach».

Polaniecki zaś, kładąc się spać, powtórzył sobie nieco mechanicznie:

— Ona uważa się za moją narzeczoną.

Śmierć Litki i przejścia ostatnich dni odsunęły nietylko w myślach, ale i w jego sercu, Marynię na dalsze, a nawet bardzo dalekie plany.


Teraz znów począł myśleć o niej i zarazem o swej przyszłości. I nagle ujrzał jakby chmurę niezliczonych pytań, na które w tej chwili przynajmniej nie miał żadnej odpowiedzi.

Czuł tylko przed niemi strach; czuł, że na razie brakuje mu zarówno sił i ochoty, żeby podjąć ten trud. Znów zacząć żyć dawnem życiem, znów wpaść w to sentymentalne koło błędne, znów niepokoić się, znów wysilać, zabiegać o rzeczy, które przynoszą tylko gorycz, porać się z sobą z uczuciowych powodów? Czy nie lepiej pilnować rachunków z Bigielem, zbijać pieniądze, by kiedyś ruszyć, jak Bukacki

do Włoch lub gdzieindziej, gdzie jest słońce, sztuka, wino dobre na żołądek i przede wszystkim ludzie obojętni, których szczęście serca przybysza nie rozpromieni, ale za to śmierć lub niedola nie wycisną ani jednej lzy.

XX.

Podczas tych wszystkich rozterek duchowych, przez które przechodził Połaniecki, interesa Domu handlowego rozwijały się jednak pomyślnie. Dzięki zdrowemu rozsądkowi, pilności i czujności Bigiela, bieżące sprawy były załatwiane zawsze z jednaką dokładnością, która ze strony klientów Domu usuwała wszelką możliwość zawodu, niezadowolenia, skarg. Dom zyskiwał z każdym dniem na opinii, rozszerzał zwolna i stopniowo działalność, porastał w pierze. Połaniecki zresztą pracował nie z takim wprawdzie spokojem, jak dawniej, ale nie mniej od Bigiela. Ranne godziny spędzał codziennie w biurze, im zaś większe były jego duchowe frasunki, im nieporozumienia z Marynią stawały się od chwili jej przyjazdu do Warszawy głębsze, tem pracował gorliwiej. Ta robota, najczęściej ciężka i chwilami wymagająca nawet dość natężonego



myślenia, ale nie stojąca w żadnym związku z tem, co go bolało, i nie mogąca przyczynić żadnej wewnętrznej troski, stała mu się w końcu rodzajem przystani, w której się chował przed burzą. Połaniecki począł ją lubić. «Tu przynajmniej wiem, co robię i do czego dążę — mówił Bigielowi; — tu wszystko jest bardzo jasne: jeśli nie znajdę szczęścia, znajdę przynajmniej to rozszerzenie życia i tę swobodę, którą daje pieniądz, i tem lepiej dla mnie, jeśli potrafię na tem poprzestać». Ostatnie wypadki utwierdziły go tylko w tych myślach. Rzeczywiście, od strony uczuć przychodziły nań wyłącznie zmartwienia. Ta siejba dawała gorzkie żniwo, podczas gdy jedyne powodzenia, których doznał, a które bądź co bądź, krzepią i bronią w życiu od nieszczęścia, dał mu ów Dom handlowy. Sam Połaniecki myślał z pewnem zdziwieniem, że tak jest, ale tak nie było. Sam czuł ciasnotę tego zadowolenia, które mógł dać Dom; ale jednocześnie mówił sobie, że skoro nie można inaczej, to trzeba i bezpieczniej jest na tem poprzestać, albowiem lepiej jest być wyłącznie kupcem, któremu się powodzi, niż romantykiem, którego wszystko zawodzi. Więc od śmierci Litki postanowił tem bardziej stłumić w sobie wszystkie te porywy, którym rzeczywistość nie umiała odpowiedzieć i które nie przynosiły nic, prócz zgryzot. Oczy-

wiecie Bigiel rad był z takiego usposobienia swego współnika, które Domowi mogło przynieść tylko korzyść.

Połaniecki nie mógł jednak stać się w ciągu kilku tygodni człowiekiem zupełnie obojętnym na to wszystko, z czem niegdyś związane było jego serce. Skutkiem tego od czasu do czasu odwiedzał Litkę, której kamień grobowy pokrywały już rankami białe, zimowe szrony. Dwukrotnie spotkał na cmentarzu panią Emilię z Marynią. Raz odwoził je do miasta, i wówczas pani Emilia poczęła dziękować mu za pamięć o malej. Połaniecki zauważył, że czyniła to ze względnym spokojem, zrozumiał zaś ten spokój, gdy przy pożegnaniu rzekła mu: «Ja teraz ciągle myślę, że ona, żyjąc sama w wieczności, uważa to rozłączenie za tak krótkie, jak jedno mgnienie oka — i pan nie wie, co to za pociecha, że przynajmniej nie tęskni». Połaniecki powiedział sobie w duszy: «No, że nie wiem, to nie wiem!» Jednakże głębokie przekonanie, z jakim mówiła pani Emilia, uderzyło go: «Jeśli to są złudzenia, — pomyślał — to są prawdziwie żywotne złudzenia, skoro potrafią nawet z piwnicy grobowej wyciągnąć soki dla życia...»

Marynia potwierdziła zresztą, w pierwszej rozmowie z Połanieckim, że pani Emilia żyje tylko tą myślą. To jedno łagodziło jej żal. Po

całych dniach nie mówiła z Marynią o niczem innym i powtarzała tak uporcezywie w kółko, iż śmierć, widziana od strony Boga, jest rozłączeniem na jedno mgnienie oka, że ta uporcezywość poczęła Marynię niepokoić.

— Mówi też o Litce, — rzekła w końcu panna Plawicka — jakby dziecko nie umarło i jakby je miała jutro zobaczyć.

— To i szczęście — odpowiedział Polaniecki. — Waskowski oddał jej rzetelną usługę. Taki gwóźdź w głowie nie boli.

— A przecież ona ma słuszność, bo to tak jest...

— Nie będę pani zaprzeczał.

Marynię niepokoiła wprawdzie uporcezywość, z jaką pani Emilia wracała ciągle do jednej myśli; z drugiej strony jednak sama patrzyła na śmierć nie inaczej, więc ów odcień sceptycyzmu, widoczny w słowach Polanieckiego, dotknął ją nieco i zabolął.

Nie chcąc wszelako zdradzić się z tem, zmieniła rozmowę.

— Kazałam powiększyć fotografię Litki — rzekła. — Wczoraj mi odniesiono trzy egzemplarze. Jeden dam Emilce. Bałam się poprzednio, że to ją nadto wzruszy, ale teraz widzę, że można. Owszem: będzie jej bardzo mile.

To powiedziawszy, wstała i poszła do pólek

z książkami, na których leżały owinięte w bibulkę fotografie, następnie siadła obok Polanieckiego przed małym stolikiem i poczęła je rozwijać.

— Opowiadała mi Emilka — rzekła — jakąś waszą rozmowę, na krótko przed śmiercią malej, w której Litka powiedziała, że życzyłaby sobie, żebyście we troje byli brzożami i rośli blisko siebie. Pamięta pan tę rozmowę?

— Tak, przypominam sobie. Dziwiła się, że drzewa tak długo żyją, a potem namyślała się, jakimby chciała być, i najlepiej jej się podobała brzoza.

— Tak. A pan powiedział, że także chciałby rosnać blisko... Więc ja teraz naokół tych fotografii, na passe-partout, chciałam wymalować brzozy. O, tu, widzi pan, zaczęłam, ale nie bardzo mi idzie, bo naprzód dawno nie miałam farb w rękę, a powtóre, nie umiem malować z pamięci.

To rzekłszy, wydobyla jedną z fotografii i poczęła pokazywać Polanieckiemu podmalowane akwarelą brzozy, że zaś wzrok miała nieco krótki, więc pochyliła się nad swoją robotą tak, że skroń jej znalazła się przez chwilę tuż przy skroni Polanieckiego.

Nie była mu już ona dawną Marynią, o której marzył, wracając wieczorami od pani Emilii,

i która wypełniała mu wówczas całą duszę. Ten czas minął. Myśli jego odeszły w inną stronę. Natomiast Marynia nie przestała być typem kobiecym, czyniącym wyjątkowo silne wrażenie na jego męskie nerwy, i teraz, gdy skroń jej dotykała niemal jego skroni, gdy jednym rzutem oczu objął jej matową twarz, zarumienione nieco policzki i pochyłoną nad malowidłem postać, odczuł ów pociąg z dawną siłą, i żartka krew poczęła mu napędzać równie żartkie myśli do głowy.

«Gdybym jej teraz zaczął całować oczy i usta, — powiedział sobie — ciekawym, jakby postąpiła?»

I na jedno mgnienie oka porwała go chęć, by to uczynić, choćby przytem obrazić śmiertelnie Marynię. Za to długie odpychanie go, za tyle niepokoju, trosk i zmartwień, chciałby był mieć taką chwilę zapłaty i — może zarazem — zemsty.

Tymczasem Marynia, przypatrując się robotcie, mówiła dalej:

— Dziś mi się to wydaje gorsze jeszcze, niż wczoraj. Na nieszczęście, drzewa nie mają teraz liści i nie będę mogła znaleźć modelu.

— Nie, — rzekł Polaniecki — to wcale niezła grupa. Tylko jeśli te drzewa mają wyobrażać

panią Emilię, Litkę i mnie — to czemu pani zrobiła cztery brzozy?

— Czwarta, to ja — odrzekła z pewną nieśmiałością Marynia. — Ja także chciałabym kiedyś tak rosnąć razem...

Polaniecki spojrział na nią bystro, ona zaś, obwijając na nowo fotografie, zaczęła mówić, jakby się śpiesząc:

— Tyle się rzeczy dla mnie związało ze wspomnieniem tej dziecinki... Byłam w ostatnich czasach prawie ciągle z nią i z Emilką... Emilka to dziś dla mnie jedna z najbliższych w świecie osób... Ja tak samo należałam do nich, jak i pan... Nie wiem dobrze, jak to powiedzieć... Było nas czworo, a teraz zostało troje — związanych przez Litkę... Bo ona nas związała. Ja teraz, jak o niej, myślę o Emilce i o panu... Dlatego postanowiłam wymalować cztery brzozy, a widzi pan, że są trzy fotografie: jedna dla Emilki, jedna dla mnie, a jedna dla pana.

— Dziękuję pani — odrzekł Polaniecki, wyciągając ku niej rękę.

Marynia oddała mu uścisk bardzo serdecznie i rzekła:

— Dla jej pamięci też powinniśmy zapomnieć o wszystkich dawnych urazach.

— To się już stało, — odpowiedział Pola-

niecki — a co do mnie, to chciałem, żeby tak było jeszcze na długo przed śmiercią Litki.

— To też odtąd zaczęła się moja wina, za którą pana przepraszam.

I znów podała mu rękę. Polaniecki zawahał się przez chwilę, czy ma ją podnieść do ust, nie uczynił tego jednak, tylko rzekł:

— A więc zgoda?

— I przyjaźń? — odpowiedziała Marynia.

— I przyjaźń.

W oczach jej odbiła się głęboka, spokojna radość, która opromieniła całą jej twarz łagodnym światłem. Było w niej teraz tyle dobroci i ufności, że Polanieckiemu mimowoli przypomniła się owa dawna Marynia, którą widział w Krzemieniu, gdy siedziała na ganku ogrodowym, w promieniach zachodzącego słońca.

Jednakże od śmierci Litki był on w takim nastroju, że podobne wspomnienia uważał za niegodne siebie, więc wstał i począł się żegnać.

— Nie zostanie pan z nami na cały wieczór? — spytała Marynia.

— Nie, pani, muszę wracać.

— Powiem Emilce, że pan wychodzi — rzekła, idąc ku drzwiom przyległym.

— Ona teraz albo rozmyśla o Litce, albo się modli, inaczej byłaby tu sama przyszła. Niech jej pani nie przerywa, a ja i tak jutro przyjdę.

Na to Marynia zbliżyła się ku niemu i, patrząc mu w oczy z wielką serdecznością, rzekła:

-- I jutro i codziennie. Wszak prawda? Niech pan pamięta, że pan jest teraz dla nas «pan Stach».

Od śmierci Litki drugi raz Marynia nazwała go w ten sposób, to też, idąc do siebie, Polaniecki myślał:

— Jej stosunek do mnie jest zupełnie zmieniony. Ona się poczuwa po prostu do przynależności do mnie, bo się do tego zobowiązała obietnicą, daną umierającemu dziecku, gotowa nawet pokochać się we mnie i nie pozwoli sobie nie pokochać się... Takich u nas na tuziny.

I nagle począł się złościć:

— Znam te rybie natury z zimnem sercem, a natomiast egzaltowaną głową, pełną tak zwanych zasad. Wszystko dla zasady, wszystko dla obowiązku — nic samorzutnego w sercu! Mógłbym zdechnąć przy jej nogach i nic nie wskórać; dopiero gdy *obowiązek* każe jej mnie pokochać, to będzie kochała nawet rzeczywiście.

Widocznie Polaniecki przywykł w swoich włóczęgach za granicą do innego rodzaju kobiet, a przynajmniej o innych zapewne naczytał się w książkach. Ponieważ jednak miał przytem trochę i zdrowego rozsądku, więc ten rozsądek począł do niego także przemawiać:

— Słuchaj, Połaniecki — mówił: — toż to są właśnie dlatego wyborowe natury, nadzwyczaj pewne, na których można budować, na których można oprzeć życie. Czyś ty zwaryował! Tobie przecie chodziło o żonę, nie o przemijającą awanturę miłosną.

Ale Połaniecki nie przestawał się zżymać i odpowiadał rozsądkowi:

— Jeśli mam być kochany, chcę być kochany dla samego siebie.

Rosądek próbował jeszcze tłómaczyć mu, że wszystko jedno, jak się miłość zaczyna, bo potem nie może być inaczej kochany, tylko dla samego siebie, w tym zaś wypadku, po owych pracach i rozdrażnieniach, to jest rzeczą i zarazem naturalną i niemal cudowną, niemal opatrnościową, że zaszło coś takiego, co odrazu złamało zapory. Ale Połaniecki nie przestawał się dąsać.

Rosądkowi przyszedł wreszcie na pomoc i ów pociąg, i owo upodobanie w Maryni, na mocy którego Połaniecki widział w niej więcej uroku, niż w każdej innej kobiecie. Ten pociąg mówił z kolei:

— Nie wiem, czy ją kochasz, czy nie, i mniejsza o to, ale dziś, gdy się zbliżyła do ciebie ramieniem i twarzą, małoś ze skóry nie wyskoczył. Czemu cię taki dreszcz nie przejmuje,

gdy siedzisz koło innej kobiety? Pomyśl, co za różnica!

Ale Połaniecki odpowiadał na to wszystko:

— Ryba! Obowiązkowa ryba!...

I znowu przyszła mu myśl: «Łapże ją, skoro ten gatunek wolisz, niż każdy inny. Ludzie się jednak żenią, i na ciebie czas. Czego będziesz więcej szukał? Czy takiej jakiejś miłości, z której pierwszy gotów jesteś się wyśmiewać... Miłość twoja zgasła — dobrze! ale został pociąg i to przekonanie, które jednak masz, że to uczciwa i pewna kobieta».

— Tak, — myślał dalej — ale z miłości, czy głupiej, czy mądrej, płynie wola, a czy ja ją teraz mam? Nie, bo się waham, podczas gdy poprzednio nie wahałem się. Powtóre, trzeba zważyć, co lepsze: czy panna Pławicka, czy «*ma*» i «*winien*» w Domu pod firmą Bigiel i Połaniecki. Pieniądz daje potęgę i swobodę, a ze swobody najlepiej się korzysta, gdy się nikogo nie dźwiga ani na ramionach, ani w sercu.

Tak rozmyślając, przyszedł do domu i położył się spać. W nocy śniły mu się brzozy na wydmach, spokojne niebieskie oczy i czoło ocienione ciemnymi włosami, od którego biło ciepło.

XXI.

W kilka dni później, rano, nim wyszedł do biura, przyszedł do niego Maszko.

— Przychodzę do ciebie w podwójnym interesie, — rzekł — ale zaczynam od pieniężnego, żeby ci zostawić swobodę powiedzenia: «Tak, lub nie».

— Mój drogi, pieniężne interesa załatwiam w biurze, więc zacznij od drugiego z kolei.

— To nie jest sprawa waszego Domu, tylko prywatna, dlatego wolę mówić o niej prywatnie. Wiesz, że się żenię, potrzebuję pieniędzy. Wydatków mam, jak włosów na głowie, a przytem splat co niemiara. Przychodzi termin wypłacenia ci pierwszej raty z owej sumy na Krzemieniu, którą od ciebie nabyłem. Czy nie możesz odłożyć mi terminu jeszcze na kwartał?

— Będę z tobą szczerzy — rzekł Połaniecki: — mogę, ale nie chcę.

— No, to ja będę równie szczerzy i spytam: co zrobisz, jeśli ci jej nie zapłacę?

— I to się zdarza na świecie, — odpowiedział Połaniecki — ale tym razem masz mnie za głupszego niż jestem, bo wiem, że zapłacisz.

— Skąd masz tę pewność?

— Żeniąc się, i to żeniąc bogato, nie możesz

narazić się na opinię niewypłacalnego. Z pod ziemi wydusisz, a zapłacisz.

— Z próżnego i Salomon nie należy.

— Bo nie brał u ciebie lekcyi. Mój drogi, nikt nas nie słyszy, więc powiem ci, że ty przecie całe życie nic innego nie robisz.

— Więc jesteś pewny, że zapłacę?

— Tak.

— Masz słuszość. Chciałem od ciebie grzeczności, do której nie mam prawa. Tylko, że nareszcie i ja czuję się tem wszystkiem zmęczony... Tu brać, tam zatykać — wiecznie żyć w takim kołowrocie — to nareszcie przechodzi siły ludzkie!... Zawijam niby do portu. Za dwa miesiące stanę na innych nogach, ale tymczasem dopływam resztą pary... Nie możesz — trudno!... Jest trochę lasu na Krzemieniu — wytnę go i zapłacę, skoro nie można inaczej.

— Co tam za lasy na Krzemieniu! Stary Pławicki wygolił, co się dało.

— Jest duża dąbrowa za dworem ku Niedziałkowu.

— Prawda. Jest.

— Wiem, że wy z Bigielem robicie i takie interesa. Kupcie ode mnie tę dąbrowę. Oszczędzi mi to szukania kupca, a wy możecie wyjść z zyskiem.

— O tem pomówię z Bigielem.

— Więc z góry nie odmawiasz?

— Nie. Jeśli oddasz tanio... możebym nawet i sam... Ale w takich rzeczach potrzebuję obliczyć możliwe zyski lub straty. Chcę także wiedzieć twoje warunki. Oblicz się i ty. Przyślij mi wykaz, ile tam tego jest — i jakie sztuki. Ja tego nie pamiętam.

— Przyślę ci za godzinę.

— W takim razie w wieczór dam ci odpowiedź.

— O jednym warunku z góry cię uprzedzam: nie będziesz miał prawa wyciąć dąbrowy przed dwoma miesiącami.

— Dlaczego?

— Bo Krzemień ogromnie traci bez tej ozdoby, więc po ślubie zaproponuję ci odprzedaż, naturalnie z odpowiednim zyskiem.

— Zobaczymy.

— Prócz tego mam na Krzemieniu margiel. Pamiętasz, żeś sam mi o tem mówił. Pławicki obliczał to na miliony — i to głupstwo! — ale w rękach sprytnych ludzi to naprawdę może być niezły interes. Pomyślcie i o tem z Bigielem; ja przyjąłbym was do spółki.

— Jeśli interes okaże się dobry; po to jest nasz Dom, żeby dobre robił.

— Więc o tem pomówimy później, a teraz wracam do dąbrowy. Ogólny zarys naszego układu niech będzie taki, że ja, zamiast przy-

padającej raty, daję ci dąbrowę, lub jej część, stosownie do obliczenia; daję ci ją niejako w zastaw, ty zaś zobowiążesz się nie wycinać dębów przed upływem następnego kwartału.

— To mogę zrobić — rzekł Polaniecki. — Oczywiście przyjdą następnie takie kwestye, jak dostawy dębów do kolei etc., o których będziemy mówili przy spisywaniu kontraktu, jeśli wogóle będziemy go spisywali.

— Więc przynajmniej jeden ciężar z głowy! — rzekł Maszko, trąc ręką czoło. — Wyobraź sobie, że mam takich dziesięć lub piętnaście na dzień, nie licząc rozmów o interesach z panią Krasławską, które są cięższe od wszystkiego, i służby przy narzeczonej, która...

Tu Maszko zaciął się na minutę, lecz nagle machnął ręką i dodał:

— Która także nie jest lekka...

Polaniecki spojrział na niego ze zdziwieniem. W ustach Maszki, tak przestrzegającego świątowych względów w każdym słowie, było to coś niesłychanego.

A Maszko mówił dalej:

— Lecz mniejsza o to. Pamiętasz, jak przed śmiercią Litki omal raz nie przyszło między nami do kłótni... Nie policzyłem się z tem, żeś ty bardzo kochał tę małą, żeś był niespokojny, rozdrażniony, i postąpiłem po grubijańsku... Wina

była zupełnie po mojej stronie, zatem przepraszam cię.

— To rzecz zapomniana — odpowiedział Połaniecki.

— Przypomniałem ją dlatego, że mam cię prosić o usługę. Jest rzecz taka: Ja nie mam przyjaciół; krewnych, albo nie mam, albo mam takich, z którymi nie warto się popisywać. Teraz muszę szukać drużbów, i dalibóg nie bardzo wiem, gdzie się zwrócić... Wiesz, że miałem w ręku interesa rozmaitych paniczyków... Ale prosić pierwszego lepszego pajaca, dlatego że ma tytuł — nie idzie i nie chce mi się. Chodzi mi o to, bym miał drużbów porządnych ludzi, a powiem otwarcie -- i porządne nazwiska... Te panie również bardzo na to uważają, więc — zechcesz mi drużbować?

— Tegobym ci nie odmówił, gdybyś przyszedł w innych okolicznościach. Ale powiem ci, jak jest. Patrz: nie noszę krepy na kapeluszu, ni białych tasiemek przy surducie, więc nie jestem w żałobie, a mimo tego, daję ci słowo, że jestem w większej żałobie, niż gdyby mi własne dziecko umarło...

— Tak, nie policzyłem się z tem — rzekł Maszko. — Przepraszam cię.

Połanieckiego ujęły te słowa:

— Jeśli zresztą bardzo ci na tem zależy...

jeśli prawdziwie nie będziesz mógł znaleźć nikogo innego — to niechże będzie, jak chcesz, ale szczerze ci mówię, że po takim pogrzebie ciężko mi być na weselu.

Polaniecki nie powiedział wprawdzie: «na takim weselu», ale Maszko odgadł jego myśl.

— Przytem — mówił dalej Polaniecki — jest i druga okoliczność. Tyś musiał o tem słyseć, że było jakieś biedaczysko, doktorzyna... który kochał się na śmierć w twojej narzeczonej. Wolno jej było nie być wzajemną, i nikt jej z tego powodu nie może robić zarzutu, ale tamten swoją drogą pojechał gdzieś, gdzie pieprz rośnie, i licho go wzięło... rozumiesz? — a ja byłem z nim w przyjaźni, zwierzał mi się ze swoich nieszczęść i wyplakiwał mi się w kamicelki — rozumiesz?... W tych warunkach družbować innemu — sam powiedz?

— I tamten naprawdę umarł z miłości dla mojej narzeczonej?

— Toś ty o tem nie slyszal?

— Nie tylko nie slyszal, ale uszom nie wierzę...

— Wiesz co, Maszko, małżeństwo zmienia człowieka, ale widzę, że i narzeczeństwo. Ja cię wprost nie poznaję.

— Bo jak ci powiedziałem, jestem tak zmę-

czony, że już mi tchu nie staje, a w takich razach maska spada.

— Co przez to rozumiesz?

— Rozumiem, że są dwie kategorie ludzi: jedni nie robią sobie z niczego nic i sposób postępowania stosują przygodnie do każdej okoliczności, drudzy mają pewien system, którego się mniej więcej konsekwentnie trzymają. Ja należę do tych drugich. Przywykłem do ochraniań pozorów, i co większa, przyzwyczailem się do tego tak bardzo, że w końcu zmieniło się to w moją naturę. Ale widzisz, gdy się naprzykład podróżuje samowtór w wielki upał — wówczas na człowieka najbardziej «comme il faut» może przyjść chwila, w której rozepnie nietylko surdut, ale i kamizelkę. Na mnie przyszła taka chwila, więc się rozpinam.

— To się znaczy?

— To się znaczy, iż zdumieniem mnie przejmuje wiadomość, iż ktoś mógł się na śmierć zakochać w mojej narzeczonej, która jest, jak mi to niegdyś w złości dałeś do zrozumienia, zimna, sztywna i tak mechaniczna w ruchach, słowach i myślach, jakby była nakręcana kluczem. To wszystko jest zupełną prawdą — i ja to potwierdzam. Nie chcę, żebyś mnie miał za większego nicponia, niż jestem. Ja jej nie kocham, i moje małżeństwo będzie równie sztywne, jak

moja narzeczona. Kochałem pannę Pławicką, która mnie odrzuciła. Pannę Kraslawską biorę dla jej majątku. Jeśli powiesz, że to jest niegodziwość, odpowiem ci, że tę niegodziwość spełniły lub spełnią tysiące tak zwanych porządnych ludzi, którym podajesz rękę i którym, co większa, życie nie upływa w rozkoszy, ale też i nie w tragedyi. Kuleje, ale idzie... Później pomaga im przyzwyczajenie, przeżyte lata, które przynoszą jakiś rodzaj przywiązania, dzieci, które się rodzą — i jakoś idzie! Takich małżeństw jest większość, bo większość ludzi woli chodzić po ziemi, niż wspinać się na szczyty. Często nawet inne małżeństwa są gorsze — bo gdy naprzykład kobieta woli latać, a mężczyzna pelzać, lub odwrotnie — to niema widoków na porozumienie. Co do mnie, napracowałem się jak wół. Pochodząc z rodziny podupadłej, chciałem wypłynąć — do tego się przyznaję. Gdybym chciał być zostać nieznanym kauzyperdą i zbijać tylko pieniądze, mógłbym je zbil i otworzył mojemu synowi na rozcież wrota do życia. Ale ja nie kocham moich dzieci przed ich przyjściem na świat — więc chciałem sam mieć nie tylko pieniądze — ale być czemś, coś znaczyć, zająć jakieś stanowisko, zaważyć, jak u nas można zaważyć, więc przynajmniej w życiu towarzyskiem. Z tego wynikło, że co adwokat

zarobił, to grand seigneur pochłonał. Stanowisko obowiązuje. Zatem nie mam pieniędzy, znudzila mi się szarpanina, polegająca na wrywaniu dziury w jednym miejscu, żeby ją zatkać w drugim — i dlatego biorę pannę Krasławską, która znów dlatego idzie za mnie, że, jeśli nie rzeczywiście, to pozornie jestem wielkim panem, a raczej udaję wielkiego pana, bawiącego się w adwokaturę... Partye są równe, niczyjej krzywdy niema i nikt nikogo nie oszukuje, albo, jeśli wolisz, oboje oszukujemy się w jednakiej mierze. Oto jest cała prawda, a teraz, jeśli chcesz, to mną pogardzaj.

— Dalibóg, że nigdy nie szanowałem cię więcej, — odpowiedział Polaniecki — bo teraz podziwiam nietylko twoją szczerłość, ale i odwagę.

— Przyjmuję komplement za szczerłość, ale w czym widzisz odwagę?

— W tem, że mając tak mało złudzeń co do panny Krasławskiej, żenisz się z nią jednak.

— Bo jestem więcej mądry, niż głupi. Szukałem pieniędzy — prawda, ale czy myślisz, że dla pieniędzy ożeniłbym się z pierwszą z brzegu, która je posiada? Bynajmniej, mój kochany. Ja biorę pannę Krasławską i wiem, co robię. Panna Krasławska ma swoje wielkie przymioty, niezbędne w warunkach, w jakich ja ją biorę, a ona za mnie wychodzi. Panna Krasławska

będzie żoną zimną, nieprzyjemną, kwaśną — a nawet pogardliwą, o ile nie będzie się mnie bała. Ale natomiast panna Krasławska, tak jak i jej matka, ma cześć religijną dla pozorów, dla tego, co wypada lub nie wypada, a ogólnie mówiąc, dla tak zwanej przyzwoitości. To raz. Dalej, niema w niej ani jednego takiego ziarnka, z którego wyrastają awanturnice — i pożycie z nią, tak nieprzyjemne jak być może, nie skończy się nigdy skandalem. To dwa. A po trzecie, jest we wszystkim pedantką, zatem zarówno w pobożności, jak i w spełnianiu tych wszystkich zobowiązań, które na siebie weźmie. To już istotnie wielki przymiot. Nie będę z nią szczęśliwy, ale będę mógł być spokojny, kto wie zaś, czy to nie jest maximum, którego w życiu można żądać. I to ci, mój kochany, powiadam: gdy będziesz brał żonę, przedewszystkiem myśl o przyszłym spokoju. W kochance szukaj sobie czego chcesz: dowcipu, temperamentu, poetycznego nastroju, wrażliwości, ale z żoną trzeba żyć lata — więc szukaj w niej tego, na czem się można oprzeć — szukaj zasad.

— Nie miałem cię nigdy za głupiego, — rzekł Połaniecki — ale widzę, że masz więcej rozumu, niżem myślał.

— Bo widzisz, nasze kobiety, ot naprzykład ze świata pieniądze, kształcą się naprawdę

na francuskiej powieści, a wiesz, co z tego wynika?

— Mniej więcej wiem, ale dziś jesteś tak wymowny, że rad wysłucham twego określenia.

— Oto, że kobieta staje się sama dla siebie Bogiem i prawem.

— A dla męża?

— Kameleonem i dramatem.

— To się tak trochę dzieje w świecie bardzo pieniężnym, a pozbawionym tradycji. Tam wszystko jest pozorem i toaletą, pod którą siedzi nie dusza, ale mniej więcej wykwintne zwierzątko.

— Ale ten świat bogaty i strojny, bawiący się, przesiąknięty dyletantyzmem artystycznym, literackim, a nawet i religijnym, trzyma batutę i kieruje chórem.

— U nas jeszcze nie.

— U nas jeszcze niezupełnie. Zresztą, są wyjątki nawet w tym świecie, tembardziej muszą być poza nim. Tak, u nas są inne kobiety, na przykład panna Plawicka. Ach, co za spokój, co za bezpieczeństwo, a przytem co za wdzięk życia z taką, jak ona! Niestety — ona nie dla takich, jak ja!

— Maszko! Spryt gotów ci byłem od biedy przyznać, ale nie wiedziałem, że jest w tobie i entuzjazm.

— Co chcesz: bom się w niej kochał, a teraz żenię się z panną Krasławską!

Ostatnie słowa Maszko wymówił jakby z pewną złością. Poczem nastąpiła chwila milczenia.

— Więc nie będziesz mi družbował? — spytał Maszko.

— Daj mi czas do namysłu.

— Za trzy dni wyjeżdżam.

— Dokąd?

— Do Petersburga. Mam tam interesa. Zabawię ze dwa tygodnie.

— To ci po przyjeździe odpowiem.

— Dobrze. Dziś ci przyślę wykaz moich dębów w trzech rozmiarach... Byle raty nie płacić!

— A ja warunki, pod którymi je kupię.

Tu Maszko pożegnał się i wyszedł, a wkrótce za nim podążył do biura Połaniecki. Po nara-dzie z Bigielem, postanowił, jeśli rzecz się okaże możliwa i korzystna, kupić dąbrowę na własną rękę. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, dla-czego czuł jakąś dziwną chęć zahaczyć się o Krzemień. Po godzinach biurowych myślał także o tem, co mu mówił Maszko o pannie Pławickiej. Czuł doskonale, że mówił prawdę — i że z tego rodzaju kobietą życie może być nie-tylko bezpieczne, spokojne, ale i pełne wdzięku. Spostrzegł się jednak, że w tych rozmyślaniach

oddaje sprawiedliwość raczej już tylko typowi, którego Marynia była okazem, niż Maryni samej. Spostrzegł również tysiące niekonsekwencji w sobie. Bo oto było w nim jakieś zniechęcenie, a nawet gniew przeciw kochaniu kogokolwiek lub czegokolwiek, przeciw zapędzaniu serca w jakieś więzy i węzły, tak zwykle poplątane, że aż bolesne. Na samą myśl o tem burzył się i w duchu powtarzał: «Nie chcę! mam tego dosyć! — to jest niezdrowa wybujałość, która prowadzi tu ludzi tylko do zboczeń i cierpień». Jednocześnie zaś miał naprzykład za złe Maryni, że nie pokochała go jakąś wybujałą bezwzględną miłością, a poczęła otwierać mu serce dopiero wówczas, kiedy poniekąd nakazał jej to obowiązek. Następnie, nie chcąc kochania, dziwił się jednak, że mu ono tak łatwo poczęło wędznąć i że daleko więcej pragnął Maryni wówczas, gdy ona go nie chciała, niż teraz, gdy okazywała mu się skłonniejszą. «Ostatecznie — myślał — to wszystko prowadzi do tego, że człowiek sam nie wie, czego chce i czego się ma trzymać, to jest do stanu, który niech piorun trzaśnie! Panna Pławicka ma więcej przymiotów, niż się sama domyśla, panna Pławicka jest obowiązkowa, prawa, cicha, piękna, zmysły moje ciągną mnie do panny Pławickiej, a jednocześnie czuję, że panna Pławicka nie

jest mi tem, czem była, i że coś we mnie dyabli wzięli».

— Ale co?

— Jeśli zdolność do kochania, — monologował dalej Polaniecki — to ponieważ doszedłem do wniosku, że kochanie jest najczęściej głupstwem, a zbytnie kochanie zawsze głupstwem, więc powinienem być kontent — tymczasem nie jestem kontent.

Lecz po chwili przyszło mu na myśl, że to jest tylko rodzaj osłabienia taki, jaki przychodzi na przykład po chirurgicznej operacyi, lub po przebytej chorobie — i że życie pozytywne wypełni mu z czasem ową czerzość, którą odczuwał.

Życiem pozytywnem zaś był dla niego «Dom handlowy».

Przyszedłszy na obiad, zastał Waskowskiego i dwóch służących, którzy mrugali na siebie, widząc, jak staruszek podnosi chwilami widelec z kawalkiem mięsa do góry i zamyśla się na śmierć, lub rozmawia sam z sobą. Profesor Waskowski od niejakiego czasu ustawicznie rozmawiał z sobą, i to tak głośno, że ludzie oglądali się za nim na ulicy. Niebieskie jego oczy patrzyły teraz chwilę bezprzytomnie na Polanieckiego, poczem zbudził się jakby ze snu i rzekł, kończąc poczętą w głowie myśl:

— Ona powiada, że ją to zbliży do dziecka.

— Kto powiada? — spytał Polaniecki.

— Pani Emilia.

— W jaki sposób się zbliży?

— Bo chce zostać Siostrą miłosierdzia.

Polaniecki zamilkł pod wrażeniem tej wiadomości. Mógł on sobie myśleć, co mu przez głowę przeszło, rugować z siebie uczuciowość, filozofować o niezdrowych wybujałościach całego społeczeństwa, w którym żył — w duszy miał jednak dwie jakby świętości: Litkę i panią Emilię. Litka była już tylko drogiem wspomnieniem — natomiast panią Emilię kochał żywym, braterskim i najtkliwszym uczuciem, którego w rozmyślaniach nigdy nie tykał.

To też przez jakiś czas nie mógł się zdobyć na odpowiedź, następnie spojrzał surowo na Waskowskiego i rzekł:

— Pan, profesorze, namawiasz ją do tego. Ja się w pańskie mistycyzmy i pańskie idee z pod ciemnej gwiazdy nie wdaję, ale wiedz o tem, że bierzesz na swoje sumienie jej życie, bo ona poprostu nie ma sił fizycznych na Siostrę miłosierdzia i w rok umrze — rozumiesz pan?

— Mój drogi, — odpowiedział Waskowski — ot i skazałeś mnie sądem doraźnym, nie wysłuchawszy. Czyś ty się zastanawiał nad tem, co znaczy wyrażenie: «mąż sprawiedliwy?»

— Gdy mi chodzi o kogoś blizkiego, drwię z wyrażen.

— Mnie ona wczoraj powiedziała o tem najniespodzianiej, a ja ją spytałem: «Moje dziecko, ale czy ty będziesz miała dość siły, bo to ciężka praca?» Wówczas uśmiechnęła się do mnie i powiada tak: «Nie odmawiajcie mnie, bo to moja ucieczka i moje szczęście. Jeśli się pokaże, że nie mam sił, to mnie nie przyjmą, a jeśli przyjmą, a siły mi nie starczą, to pójdę wcześniej do Litki, a ja tak tęsknię!» Co ja miałem powiedzieć na taką wolę i taką prostotę? Co ty potrafisz powiedzieć? Kto, nawet niewierzący, śmiałyby powiedzieć, że może Litki wcale niema, i że życie w pracy, w miłosierdziu, w poświęceniu, a śmierć w Chrystusie, może do Litki nie doprowadzić? Wymyśl jej inną pociechę, ale jaką wymyślisz? Daj inną nadzieję, ukój ją czem innem, ale czem ukoisz? Będziesz ją przecie widział — więc powiedz szczerze: czy ośmielisz się jej odradzać?

— Nie — rzekł krótko Połaniecki.

Po chwili zaś dodał:

— Nic, tylko zmartwienia ze wszystkich stron!

— Jednoby można — mówił dalej Waskowski: — namawiać ją, żeby zamiast Sióstr miłosierdzia, u których praca jest nad jej siły, wy-

brała jaki zakon kontemplacyjny. Są takie, gdzie biedny atom ludzki rozplywa się tak w Bogu, że przestaje być życiem osobistem, więc przestaje i cierpieć...

Połaniecki machał ręką.

— Ja się na tych rzeczach nie rozumiem — rzekł szorstko — i nie wdaję się w nie.

— Właśnie mam tu gdzieś książeczkę włoską o Nazaretankach — rzekł Waskowski, rozpinając surdut. — Nie wiem, gdzie mi się podziała... Wychodząc, gdzieś ją schowałem.

— Co mnie mogą obchodzić pańskie Nazaretanki?

Lecz Waskowski za surdudem rozpiął następnie w poszukiwaniu i kamizelkę, poczem zamyslił się i rzekł:

— Czegóż ja szukałem? A wiem, tej włoskiej książeczki. Za parę dni jadę do Rzymu — na długo, na bardzo długo. Pamiętasz, com ci mówił, że to przedsiomek do innego świata? Już mi czas do bożej sieni. Emilkę bardzobym namawiał, żeby jechała do Rzymu, ale ona od dziecka nie odjedzie. Jako Siostra miłosierdzia zostanie tutaj. Możeby się jej jednak podobała reguła Nazaretanek... Taka pogodna i prosta jak pierwsze chrześcijaństwo... A ja jadę wkrótce... Nie z głową, mój drogi, bo tam lepiej wiedzą, czego

się trzymać, ale z sercem — maluczki, ale mi-
lujący.

— Zapnij profesor kamizelkę — rzekł Pola-
niecki.

— Dobrze, zapnę. Ja, widzisz, mam coś pod
sercem i powiedziałbym ci, boś ty wartki, jak
woda, ale ty masz duszę... Widzisz, chrześcijań-
stwo nietylko się nie kończy, jak się niektórym
filozofującym wartogłowom zdaje, ale zrobiło do-
piero połowę drogi...

— Kochany profesorze, — rzekł łagodniej Po-
łaniecki — wysłucham tego, co mi pan chcesz
powiedzieć, chętnie i cierpliwie, ale nie dziś, bo
dziś myślę tylko o pani Emilii, i poprostu za
gardło mnie ściska... To przecie katastrofa!

— Dla niej, nie. Życie jej się przyda —
i śmierć również.

Połaniecki zaś począł mruzczyć:

— Dalibóg, nietylko każde mocniejsze uczu-
cie, ale prosta przyjaźń kończy się zgryzotą...
Nigdy żadne przywiązanie nie przyniosło mi nic,
prócz zmartwień. Bukacki ma słusność... Z ogól-
nych przywiązań tylko bieda, z osobistych tylko
bieda — i żyj tu w takim otoczeniu!...

Rozmowa urwała się, a raczej zmieniła w mo-
nolog profesora Waskowskiego, który począł roz-
prawiać z sobą o Rzymie i chrześcijaństwie. Po
obiedzie wyszli razem na ulicę, pełną brzęku

dzwonek od sanek i wesołego zimowego ruchu, albowiem zrana dnia tego spadł dość obficie śnieg, a pod wieczór uczyniło się pogodnie, cicho i mroźno.

— Zapnijże profesor kamizelkę — rzekł nagle Polaniecki, spostrzegłszy rozpięte ubranie Waskowskiego.

— Dobrze, zapnę — odpowiedział Waskowski.

I począł ciągnąć dziurki kamizelki do guzików surduta.

— Lubię jednak tego Waskowskiego — mówił sobie Polaniecki, wracając do domu. — Gdybym się do niego na dobre przywiązał, pewnieby go licho wzięło, bo taki już mój los. Na szczęście, dotychczas dość mi to obojętne.

I tak mówiąc, Polaniecki wmawiał w siebie rzecz nieistniejącą, albowiem miał szczerą przyjaźń dla profesora Waskowskiego, i los jego nie był mu bynajmniej obojętny.

Gdy wrócił do domu, na wstępie uśmiechnęła się do niego twarzyczka Litki z dużej fotografii, którą podczas jego niebytności przysłała Marynia. Jej widok wzruszył Polanieckiego do głębi duszy. Często zresztą doznawał on tego rodzaju wzruszeń, gdy niespodzianie przypomniawszy sobie Litkę, lub nagle spostrzegł jeden z jej portretów. Zdawało mu się wówczas, że miłość do

tego dziecka, pochowana gdzieś w głębi serca, wstawiała nagle z dawną żywotnością i siłą, przejmując całą jego istotę ogromną tkliwością i ogromnym żalem. To odświeżanie się żalu było nawet tak bolesne, że go unikał, jak zwykle człowiek unika prawdziwego cierpienia. Teraz jednak było w jego wzruszeniu coś słodkiego. Litka uśmiechała się do niego przy blasku lampy, jak gdyby chciała powiedzieć: «Pan Stach». Naokół jej główki, na białem obramowaniu, zieleniły się cztery brzozy, namalowane przez Marynię.

Połaniecki stał i patrzył przez długi czas, nakoniec pomyślał:

— Wiem, w czym może być szczęście życia — w dzieciach.

Lecz po chwili rzekł sobie:

— Tylko ja moich własnych nie będę nigdy tak kochał, jak kochałem to biedactwo.

Tymczasem wszedł służący i oddał mu list od Maryni, który przyszedł razem z fotografią. Marynia pisała co następuje:

«Ojciec polecił mi prosić pana na wieczór. Emilka przeniosła się już dziś do siebie, i woli, żeby do niej tego dnia nie przychodzić. Posyłam panu fotografię Litki i proszę koniecznie o przyjście, chcę bowiem pomówić z panem o Emilce. Papa prosił i pana Bigiela, którego

obiecał bawić, będziemy więc mogli pomówić spokojnie».

Polaniecki po przeczytaniu listu ubrał się i, poczytawszy czas jakiś, poszedł do Pławickich.

Bigiel bawił tam już od kwadransa i grał w pikietę z panem Pławickim; Marynia siedziała opodal, przy małym stoliku, zajęta jakąś robotą. Polaniecki, przywitawszy się ze wszystkimi, siadł przy niej i począł mówić:

— Dziękuję pani najmocniej za fotografię. Zobaczyłem ją niespodzianie, i Litka tak mi stała przed oczyma, że nie mogłem ochłonąć. Wie pani, że takie chwile są miarą żalu, z którego człowiek sobie nawet sprawy nie zdaje. Dziękuję najmocniej! I za cztery brzozy także... Co do pani Emilii, wiem już wszystko od Waskowskiego. Czy to zamiar tylko, czy nieodwołalne postanowienie?

— Prędzej, że to nieodwołalne postanowienie — odpowiedziała Marynia.

— I co pani myśli?

Marynia podniosła na niego oczy, jakby czekając od niego jakiejś rady.

— Ona nie ma na to sił — rzekła wreszcie.

Polaniecki milczał przez chwilę, następnie rozłożył bezradnie ręce.

— Mówiliśmy o tem z Waskowskim — rzekł. — Ja na niego napadłem, bo myślałem, że to jego

myśl, ale on mi przysięgał, że w niczem się do tego nie przyczynił. Pytał natomiast, jaką inną pociechę jej wymyślimy — i nie umiałem mu na to odpowiedzieć. Co jej naprawdę w życiu zostało?

— Tak — odrzekła cicho Marynia.

— I myśli pani, że ja nie rozumiem, skąd się wzięło to postanowienie? Ona poprostu nie chce w niczem swoich zasad religijnych obrazić, a chce wcześniej umrzeć. Wie, że to obowiązki nad jej siły, i dlatego je na siebie bierze.

— Tak — powtórzyła Marynia.

I schyliła głowę tak nisko nad robotą, że Połaniecki widział tylko rozbiór jej ciemnych włosów na małej główce. Miała przed sobą pełne pudelko perełek, które naszywała na rozmaite przedmioty, przeznaczone na dobroczynną loteryę, i teraz do owych perełek poczęły się sypać łzy, które płynęły z jej oczu.

— Ja widzę doskonale, że pani płacze — rzekł Połaniecki.

A ona podniosła na niego zalzawione oczy, jakby mu chciała powiedzieć: «Przed tobą nie będę skrywała łez» — i odrzekła:

— Wiem, że Emilka dobrze robi — ale tak żał!...

Na to Połaniecki, trochę ze wzruszenia, a trochę dlatego, że sam nie wiedział, co ma powie-

dzieć, pocałował ją, po raz pierwszy w życiu, w rękę. Perły z oczu Maryni poczęły się potem sypać jeszcze gęściej, tak, że musiała wstać i odejść.

Połaniecki zbliżył się do grających w chwili, gdy pan Pławicki mówił kwaśno uprzejmym tonem do swego partnera:

— Rubikon za rubikonem. Ha, trudno! Pan przedstawiasz nowe czasy, a ja starą tradycję, zatem muszę być pobity.

— Co to się ma do pikiety? — odrzekł spokojnie Bigiel.

Marynia wróciła po chwili z oznajmieniem, że herbata gotowa. Oczy miała nieco czerwone, ale twarz jasną i spokojną. Gdy później Bigiel z panem Pławickim zasiedli znowu do kart, rozmawiała z Połanieckim takim cichym, poufnym tonem, jakim rozmawiają ludzie bardzo sobie blizcy, mający mnóstwo wspólnych spraw w życiu. Wprawdzie wspólność ową wytworzyła między nimi śmierć Litki i nieszczęście pani Emilii, więc też rozmowa ich nie mogła być wesołą, ale, mimo tego, oczy, jeśli nie usta Maryni, uśmiechały się do Połanieckiego, zarazem smutno i pogodnie.

Późnym zaś wieczorem, gdy Połaniecki odszedł, Marynia, rozmyślając o nim, nie nazywała go w myśli inaczej, tylko «pan Stach».

Połaniecki również wrócił do domu w usposobieniu o wiele łagodniejszym, niż bywał dotąd od czasu śmierci Litki. Chodząc po pokoju, zatrzymywał się co chwila przed fotografią malej, patrząc zarazem na cztery brzozy, malowane przez Marynię, i myślał, że jednak ten węzeł, jaki zawiązała między nim a Marynią Litka, staje się codziennie niemal ściślejszy, sam przez się — jakby bez niczyjej woli i wprost jakąś tajemniczą siłą rzeczy.

I myślał także, że jeśli brak mu już dawnej, pierwotnej ochoty do utrwalenia tego węzła — to również brakłoby mu prawie odwagi, by go stanowczo przeciąć, zwłaszcza tak prędko po śmierci Litki.

Późną nocą zasiadł nad wykazami, przysłanymi przez Maszkę. Chwilami jednak czynił pomyłki w rachunkach, bo widział przed sobą pochyloną głowę Maryni i jej łzy, spadające do pudełka ze szklanymi paciorkami. Nazajutrz zakupił dąbrowę na Krzemieniu — bardzo zresztą korzystnie.

XXII.

Maszkko powrócił po dwóch tygodniach z Petersburga, dość zadowolony z obrotu własnych

spraw kredytowych, i przywiózł ważne wiadomości, które doszły go, jak utrzymywał, drogą czysto poufną i nie były dotąd nikomu znane. Oto zeszłego roku zbiory w całym państwie były bardzo niepomyślne. Tu i owdzie poczęło się pokazywać widmo głodu, łatwo zaś było odgadnąć, że do wiosny zapasy wyczerpią się w całych okolicach, i że klęska głodowa może stać się powszechną. Wobec tego ludzie świadomszy rzeczy zaczęli przebąkiwać o prawdopodobieństwie zakazu wywozu zboża za granicę — i tego rodzaju echa przywiózł Maszko, zaręczając przytem, że doszły do jego uszu przez osoby bardzo rzeczy świadome. Polanieckiego wiadomość ta uderzyła tak silnie, że zamknął się na kilka dni z olówkiem w rękę, poczem udał się do Bigiela z propozycją, żeby tak rozporządzalną gotowiznę, jak i kredyt Domu, obrócić na hurtowne zakupy zboża.

Bigiel zląkł się — ale on od tego zaczynał wobec każdego nowego interesu. Polaniecki nie ukrywał mu zresztą, że to będzie operacja na wielką skalę, od której powodzenia lub niepowodzenia mogą ich losy zależeć. Zupelne niepowodzenie było jednak mało prawdopodobne, powodzenie zaś mogło uczynić z nich jednym zamachem ludzi prawdziwie zamożnych. Było do przewidzenia, że wobec braku zboża, ceny

pójdą w każdym razie w górę — było również do przewidzenia, że prawo ograniczy wprowadzenie możliwości robienia nowych kontraktów z kupcami innych krajów, ale uszanuje kontrakty, zawarte przed jego ogłoszeniem; gdyby zaś i to chybiło, podniesienie się cen w samym kraju było rzeczą niemal pewną. Polaniecki wszystko, ile było w mocy ludzkiej, przewidział, wszystko obliczył — i Bigiel, który, mimo swej ostrożności, był człowiekiem rozsądnym, musiał przyznać, że widoki powodzenia są istotnie znaczne, i że szkoda pomijać sposobności.

Jakoż po kilku jeszcze naradach, podczas których opozycja Bigiela słabła coraz bardziej, stanęło na tem, czego Polaniecki chciał — i po pewnym czasie, główny komisant Domu, Abdulski, wyjechał z upoważnieniem czynienia kontraktów w imieniu Domu, tak na gotowe już zboże, jak i na mające przyjść z przyszłych omlotów.

W ślad za Abdulskim wyjechał do Prus Bigiel. Polaniecki został sam na czele Domu i pracował od rana do wieczora, skutkiem czego nie pokazywał się prawie u nikogo.

Ale czas nie dłużył mu się, bo ożywiała go nadzieja wielkich zysków i obfitszej w działalność przyszłości. Polaniecki, rzucając się na ową spekulację i wciągając do niej Bigiela, uczynił

to przedewszystkiem dlatego, że uważał ją za dobrą. Ale miał przytem i inną myśl. Oto Dom handlowy, razem ze wszystkimi swemi sprawami, był za ciasnem polem dla jego fachowego wykształcenia, dla zdolności i dla energii — i Polaniecki to czuł. Ostatecznie, o co chodziło w tego rodzaju sprawach, jakie prowadził Dom? Kupić tanio, sprzedać drożej i schować do kasy zysk — to był jedyny cel. Zakupna na własną rękę, albo pośrednictwo nic więcej. Polanieckiemu było ciasno w tej uprzęży. «Chciałbym coś kopać lub coś fabrykować, — mówił w chwilach zniechęcenia i niesmaku do Bigiela — bo my, w gruncie rzeczy, staramy się tylko o to, by z tego potoku pieniędzy, jaki w obrotach ludzkich płynie, zwrócić choć jaką taką strugę do naszej kieszeni, ale nie produkujemy nic». I to była prawda. Polaniecki pragnął dojść do majątku, zdobyć kapitał, a następnie wziąć się do jakiej roboty, bardziej walnej, dającej szersze pole do pracy i twórczości.

Sposobność, jak mu się zdawało, nadeszła, więc chwycił ją oburącz.

— Potem pomyślę o wszystkim innem — mówił sobie.

Przez «wszystko inne» rozumiał swoje sprawy ducha i serca, to jest swój stosunek do wiary, do ludzi, do ziemi, do kobiety. Rozumiał, że chcąc

być w życiu spokojnym, trzeba te stosunki wyjaśnić i stanąć na pewnych nogach. Są ludzie, którzy całe życie nie wiedzą, czem są względem tych podstaw, i których każdy wiatr kieruje w inną stronę. Połaniecki czuł, że tak nie powinno być. W obecnem swem usposobieniu przewidywał, że te pytania mogą być rozstrzygnięte w sposób tak trzeźwy, że aż suchy, i tak pozytywny, że aż materialistyczny, a wogóle ujemny; ale rozumiał, że rozstrzygnięte być muszą.

— Chcę wiedzieć jasno, czym coś powinien, czy nie — mówił sobie.

Tymczasem pracował i ludzi mało widywał. Nie mógł się jednak całkowicie od nich usunąć. Przekonał się też, że najbardziej osobiste pytania nie mogą być rozstrzygane tylko wewnętrznie, tylko we własnym mózgu lub sercu, zamkniętem na cztery spusty, ale że najczęściej jakieś wpływy zewnętrzne, jacyś ludzie dalsi lub bliżsi, przyspieszają tak koniec rozmyślań, jak i płynących z rozmyślenia postanowień. Stało się to przy pożegnaniu pani Emilii, która codziennie teraz i niemal gorączkowo skracala termin wstąpienia do nowicyatu Sióstr miłosierdzia.

Połaniecki nie przestawał wśród swych zajęć chodzić do niej, ale kilkakrotnie nie zastał jej

w domu, raz zaś znalazł u niej panią Bigielową, a zarazem i panią i pannę Krasławską, których obecność krępowała go w wysokim stopniu. Następnie, gdy Marynia doniosła mu, że pani Emilia rozpoczyna nowicyat za kilka dni, poszedł, by ją pożegnać.

Zastał ją spokojną i niemal wesołą, ale na jej widok ścisnęło mu się serce. Twarz miała przezroczystą, miejscami jakby uczynioną z perłowej masy; błękitne żyły przeglądały jej przez skórę na skroniach. Była bardzo piękna, w sposób prawie nadziemski, ale Polaniecki pomyślał: «Żegnam ją na dobre, bo ona i miesiąca nie wytrzyma: z jednego więcej przywiązania — jedna więcej zgryzota i nieszczęście!»

Ona poczęła z nim mówić o swoim postanowieniu, jako o rzeczy najzwyczajniejszej, która się sama przez się rozumie i jest naturalnym następstwem tego, co się stało, naturalną ucieczką przed życiem, pozbawionem wszelkiej podstawy. Polaniecki zrozumiał, że odradzać jej byłoby z jego strony wprost rzeczą niesumienneą i zupełnie bezmyślną.

— Pani tu zostanie? w Warszawie? — spytał.

— Tak. Bo chciałabym być blisko Litki, i Matka przelożona obiecała mi, że będę na-przód w domu, a potem, jak się czegoś nauczę, to przy którym z tutejszych szpitalów. Chybaby

zaszły jakieś nadzwyczajne wypadki... Póki będę w domu, co niedziela będzie mi wolno odwiedzać Litkę.

Połaniecki zacisnął zęby i milczał; patrzył tylko na delikatne, jakby woskowe, ręce pani Emilii, myśląc w duszy:

— Ona chce temi rękoma opatrywać chorych?...

Ale jednocześnie odgadywał, że ona chce przedewszystkiem czego innego. Pod jej pogodą i rezygnacją odczuwał niezmierny ból, mocny jak śmierć i wołający o śmierć ze wszystkich sił duszy i serca. Chciała tylko, by ta śmierć przyszła bez jej winy, nie jako jej grzech, ale jako zasługa, której nagrodę miało stanowić połączenie się z Litką...

I teraz dopiero Połaniecki zrozumiał różnicę między bólem a bólem, żalem a żalem. I on kochał Litkę, ale w nim, obok żalu za nią i wspomnień o niej, było jeszcze coś innego, jakiś życiowy interes, jakaś ciekawość przyszłości, jakieś chęci, myśli, dążenia. Pani Emilii nie zostało nic, tak, jakby umarła razem z Litką, i jeśli zajmowało ją coś jeszcze na świecie, jeśli kochała tych, którzy jej byli bliscy, to tylko dla Litki, przez Litkę i o tyle, o ile byli z nią związani.

Połanieckiemu ciężkie były te odwiedziny, i to

pożegnanie. Przywiązał się był do pani Emilii głęboko, a teraz miał poczucie, że nić łącząca ich prysła raz na zawsze, i że drogi ich rozchodzą się w tej chwili, bo on idzie dalej drogą życia, ona zaś chce, by jej życie wypaliło się jak najprędzej, i wybiera trud — wprowadzie błogosławiony — ale nad siły, by przyspieszyć śmierć.

Ta myśl zamykała mu usta. W ostatniej jednak chwili, przywiązanie, jakie miał z dawna dla niej, przemogło, i począł mówić z prawdziwym wzruszeniem, całując jej rękę:

— Droga pani, bardzo droga! niech panią Bóg strzeże i pociesza!

Tu zabrakło mu słów, lecz ona, nie puszczając jego ręki, rzekła:

— Do śmierci nie zapomnę panu, że pan Litkę tak kochał. Wiem od Maryni, że ona was połączyła, i dlatego wiem, że będziecie szczęśliwi, bo inaczej Bóg nie byłby jej tak natchnął. Ile razy was w życiu zobaczę, tyle razy pomyszę sobie, że wasze szczęście — to dzieło Litki. Niechże jej wola spełni się jak najprędzej, i niech was Bóg błogosławi oboje.

Połaniecki nie odrzekł nic, tylko, wracając do domu, myślał:

— Wola Litki!... Ona ani przypuszcza, że wola Litki może być niespełniona — i jakże

jej miałem powiedzieć, że tamta nie jest już tem dla mnie, czem była...

A jednak czuł coraz wyraźniej, że dłużej nie powinno tak być, i że owe węzły, łączące go z Marynią, należy w krótkim czasie albo ściętnić, albo zerwać, by położyć koniec dziwacznemu położeniu, nieporozumieniom i troskom, jakie stąd mogły wyniknąć; czuł, że trzeba to uczynić prędko, by postąpić uczciwie. I ogarował go nowy niepokój, wydało mu się bowiem, że jakkolwiek postąpi, nie przyniesie mu to szczęścia.

Wróciwszy do domu, zastał list Maszki, który brzmiał, jak następuje:

«Byłem u ciebie dziś dwa razy. Jakiś waryat zelżył mnie wobec moich dependentów, z powodu dąbrowy, którą ci sprzedałem. Nazywa się Gątowski. Potrzebuję z tobą pomówić i będę raz jeszcze przed wieczorem».

Jakoż przybiegł przed upływem godziny i, nie zdejmując paletota, począł pytać:

— Ty znasz tego Gątowskiego?

— Znam. To sąsiad i krewny Pławickich. Skąd to poszło i co się stało?

Maszko zdjął paletot i rzekł:

— Nie rozumiem nawet, skąd wieść o tej sprzedaży mogła się rozejść, bo ja nie mówiłem

o tem nikomu, i nawet zależało mi na tem, by się nie rozeszła.

— Nasz agent, Abdulski, jeździł do Krzemienia obejrzeć dąbrowę. Gątownski musiał się od niego dowiedzieć o sprzedaży.

— Słuchajże, co się stało. Dziś w biurze przynoszą mi kartę Gątownskiego. Nie wiedząc, kto to jest — przyjmuję. Wchodzi jakiś chlystek i pyta mnie: czy prawda, że sprzedałem dąbrowę i że chcę rozkolonizować część Krzemienia? Oczywiście, odpowiadam także pytaniem: co go to może obchodzić? Ten mówi, że obowiązałem się płacić z Krzemienia dożywotnią rentę staremu Plawickiemu, i że jeśli, prowadząc rabunkowe gospodarstwo, zrujnuję Krzemień, nie będzie mnie na czem poszukiwać. Rozumiesz, że na to poradziłem mu, żeby wziął kapelusz, zapiał się dobrze ze względu na mróz i żeby poszedł, skąd przyszedł. Wówczas począł wrzeszczeć, nazwał mnie wobec moich dependentów szachrajem, oszustem, wreszcie powiedział mi, że mieszka w Saskim hotelu — i poszedł. Czy ty nie masz do tego klucza? Czy nie możesz powiedzieć mi, co to znaczy?

— Owszem! Po pierwsze: ten Gątownski jest ograniczony i z natury gbur; po drugie: Gątownski jest od lat całych zakochany w pannie Plawickiej, i chciało mu się zostać jej rycerzem.

— Wiesz, że mam dość zimnej krwi, ale istotnie, chwilami zdaje mi się, że to sen. Żeby ktoś pozwoilił sobie zelżyć mnie za to, że sprzedaję swoją własność — to wprost przechodzi ludzkie pojęcie.

— Co myślisz robić? Gąrowskiemu pierwszy stary Pławicki natrze uszu i zmusi go, by cię przeprosił.

Na to twarz Maszki przybrała taki wyraz zimnej i zawziętej złości, że Połaniecki mimowoli pomyślał:

— No, «niedźwiadek» nawarzył piwa, jakiego się nie spodziewał — i musi je wypić.

— Mnie nikt nigdy w życiu bezkarnie nie ubliżył i nie ubliży, — rzekł Maszko — a ten człowiek nietylko mnie zelżył, ale zrobił mi taką krzywdę, jakiej się nie domyśla.

— To jest chłystek, poprostu niepoczytalny.

— Wściekły pies jest niepoczytalny, a mimo tego w łeb mu się strzela. Widzisz, że mówię chłodno, więc słuchaj, co ci powiem: spotkała mnie katastrofa, z pod której się nie podniosę.

— Mówisz chłodno, ale złość cię dusi, więc przesadzasz.

— Bynajmniej. Bądź cierpliwy i wysłuchaj mnie do końca. Położenie jest takie: jeśli moje małżeństwo nie dojdzie do skutku, albo nawet odwlecze się na jakie kilka miesięcy, dyabli

wezwą mnie, moje stanowisko, mój kredyt, mój Krzemień, i wszystko, co mam. Powiedziałem ci, że jadę resztką pary — i muszę stanąć. Panna Krasławska nie wychodzi za mnie z miłości, tylko dlatego, że ma dwadzieścia dziewięć lat, i że wydają się jej, jeśli nie wymarzoną, to przynajmniej dostateczną partya. Jeżeli się tylko pokaże, że nie jestem taką, jak myśli, to zerwie ze mną. Gdyby te panie dziś dowiedziały się, że sprzedał dąbrowę na Krzemieniu z potrzeby — jutro miałbym rekuzę. Teraz pomyśl: awantura była publiczna, bo przy moich dependentach. Rzecz nie utai się. Mógłbym im może sprzedaż dąbrowy wytłómaczyć — ale pozostaje prócz tego człowiekiem zelżonym. Gdybym nie wyzwał Gątowskiego, mogą ze mną zerwać, jako z szują bez honoru, jeśli go wyzwę — pamiętaj, że to są dewotki, a prócz tego kobiety, tak przestrzegające pozorów, jak drugich nie znam — więc zerwą ze mną, jako z awanturnikiem. Jeśli Gątowskiego postrzele, zerwą ze mną jako z zabójcą; jeśli on mnie, zerwą, jako z niedołęgą, który się pozwolił zelżyć i poturbować. Na sto danych jest dziewięćdziesiąt, że tak postąpią. Rozumiesz teraz, dlaczegom ci powiedział, że dyabli wezmą mnie, mój kredyt, moje stanowisko i w dodatku Krzemień.

Połaniecki machnął ręką, z całym bezmyśl-

nym egoizmem, na jaki zdobyć się może tylko mężczyzna w stosunku do drugiego mężczyzny, który go w gruncie rzeczy mało obchodzi.

— Ba! — rzekł. — Krzemień może ja od ciebie kupić. Ale położenie jest ciężkie. Co tedy myślisz robić z Gątowskim?

Na to Maszko rzekł:

— Dotychczas płacę długi. Nie chciałeś mi družbować, czy zechcesz być moim świadkiem?

— Tego się nie odmawia — rzekł Polaniecki.

— Dziękuję. Gątowski mieszka w Saskim hotelu.

— Jutro będę u niego.

Zaraz po wyjściu Maszki, Polaniecki wybrał się na spędzenie wieczoru do Pławickich, po drodze zaś myślał:

— Z Maszką niema żartów, i rzecz nie skończy się byle jak; ale co mnie to może obchodzić? Co oni wszyscy mnie obchodzą, albo ja ich? Jednakże jaki człowiek jest dyabelnie sam na świecie!

I nagle uczuł, że jedyną na świecie istotą, którą on coś obchodzi, i która o nim myśli, nie jak o rzeczy, jest Marynia.

I rzeczywiście, gdy wszedł, z samego uścisku jej ręki poznał, że tak jest; ona zaś rzekła mu na powitanie swoim łagodnym i spokojnym głosem:

— Miałam przeczucie, że pan przyjdzie. Niech pan patrzy: jest gotowa dla pana filiżanka.

XXIII.

Polaniecki, przybywszy do Pławickich, zastał tam Gątowskiego. Młodzi ludzie przywitali się odrazu z widocznym chłodem i niechęcią. Dnia tego nie było w całym świecie nieszczęśliwszego człowieka, niż Gątowski. Stary Pławicki z niego drwił, jak zwykle, a nawet więcej niż zwykle, był bowiem w wybornym humorze z powodu swej krewnej, po której spodziewał się znacznego spadku; Marynię krępowała jego obecność, i przymus ów napróżno starała się pokryć uprzejmem obejściem się i dobrocią. Nakoniec Polaniecki udał niemal, że go nie widzi. Widocznem także było, że Gątowski nie przyznał się do niczego przed starym Pławickim, i że drży teraz o to, by Polaniecki nie uczynił o jego zajściu z Maszką jakiejś wzmianki, lub żeby go nie opowiedział.

Polaniecki zrozumiał to odrazu, jak również i przewagę, jaką mu jego milczenie daje nad «niedźwiadkiem»; chcąc zaś jej użyć w interesie Maszki, do czasu milczał, lecz nie umiał sobie

odmówić chęci ukarania Gątowskiego w inny sposób. Oto przez cały wieczór zajmował się tak Marynią, jak nigdy od czasu śmierci Litki, co Marynię przejmowało widoczną radością. Zostawiwszy Gątowskiego staremu Pławickiemu, chodzili oboje w poufnej rozmowie po pokoju, potem zaś siedli pod ową palmą, pod którą Polaniecki widział po powrocie z pogrzebu panią Emilię — i rozmawiali właśnie o jej blizkiem wstąpieniu do Sióstr miłosierdzia. Lecz Gątowskiemu zdawało się chwilami, że tak mogą rozmawiać tylko narzeczeni, i czuł wówczas to, co musi czuć dusza, nie w czyścju, bo czyścowa ma jeszcze przed sobą nadzieję, lecz taka, która przestępuje bramę z napisem: «Lasciate ogni speranza». Widząc ich tak razem, wyobrażał sobie również, że może Polaniecki kupił dąbrowę z gruntem, żeby choć część Krzemienia odzyskać dla Maryni, a zatem z jej wolą i wiedzą. I na samą myśl, jak w takim razie zabrnął, uczyniwszy awanturę Maszce, włosy powstawały mu na głowie; Pławicki zaś, słysząc jego nawpół przytomne, albo i całkiem nedorzeczne odpowiedzi, bawił się coraz lepiej kosztem «provincyała», który na bruku miejskim traci resztę rozumu. Pan Pławicki miał się już za wzór człowieka «stołecznego».

Przyszła jednak chwila, że, gdy Marynia

zajęła się w drugim pokoju herbatą, a pan Pławicki poszedł do siebie po cygara, młodzi ludzie zostali sam na sam; wówczas Połaniecki zwrócił się do Gątowskiego i rzekł:

— Wyjdźmy po herbacie razem; chcę z panem pomówić w sprawie pańskiego zajścia z panem Maszką.

— I owszem — odrzekł ponuro Gątowski, zrozumiawszy, że Połaniecki jest świadkiem Maszki.

Tymczasem trzeba było jeszcze zostać na herbacie, a potem siedzieć dość długo, gdyż stary pan Pławicki nie lubił kłaść się wcześniej i wzywał Gątowskiego na partycję szachów. Podczas partycji panna Marynia z Połanieckim siedzieli znów osobno i rozmawiali z ożywieniem, ku serdecznej męce «niedźwiadka».

— Przyjazd pana Gątowskiego — rzekł nagle Połaniecki — musi być pani miły, bo pani przypomniał Krzemień.

Przez twarz Maryni przemknęło zdziwienie, że Połaniecki pierwszy wspomina Krzemień. Ona sądziła, że na mocy milczącej ugody, sprawę tę pokryje wiekuiste milczenie. Po chwili też odrzekła:

— Ja już więcej nie myślę o Krzemieniu.

I mówiąc to, mówiła nieprawdę, bo w głębi serca było jej serdecznie żal i miejsca, w któ-

rem się wychowała, i pracy kilku lat, i zburzonych nadziei; ale sądziła, że tak jej nakazuje mówić zarówno obowiązek, jak i budzące się dla Polanieckiego coraz silniejsze uczucie.

— Krzemień — dodała nieco wzruszonym głosem — był powodem naszej kłótni, a ja chcę teraz zgody i zgody na zawsze.

I mówiąc to, patrzyła Polanieckiemu w oczy z taką pełną słodyczy kokieterią, na jaką umie się zdobyć licha kobieta zawsze, a ucziwa wówczas tylko, gdy poczyna kochać; Polaniecki zaś pomyślał:

— Jednakże ona jest ogromnie dobra.

I zaraz powiedział głośno:

— Paniby miała przeciw mnie bajeczną broń, bo mnie dobrocią do pieklaby można zaprowadzić...

A ona odrzekła:

— Ja tam nie chcę pana prowadzić.

I na znak, że nie chce, poczęła trząść z uśmiechem swoją ciemną, śliczną główką, a Polaniecki patrzył w jej twarz, w śmiejące się, nieco za szerokie usta, i mówił sobie w duchu:

— Kocham ją, czy nie kocham, ale żadna mnie tak nie ciągnie, jak kleszczami!

Jakoż nigdy nie ujęła go i nie podobała mu się więcej, nawet wówczas, gdy nie miał ani

cienia wątpliwości, że ją kocha, i gdy borykał się z tem uczuciem.

Począł się jednak żegnać, gdyż uczyniło się późno, i po chwili obaj z Gątowskim znaleźli się na ulicy.

Wówczas Polaniecki, który nigdy nie umiał uchronić się od popędliwości, zatrzymał nieszczęśliwego «niedźwiadka» i spytał niemal w sposób wyzywający:

— Czy pan wiedziałeś, że dąbrowę na Krzemieniu kupilem ja?

— Wiedziałem, — odpowiedział Gątowski — bo wasz komisant, ten, co powiada, że pochodzi z Tatarów.... zapomniałem jak mu tam!.... był u mnie w Jałbrzykowie i mówił mi, że to pan.

— Dlaczego tedy zrobiłeś pan awanturę panu Maszce, nie mnie?

Na to Gątowski odrzekł:

— Niech mnie pan tak nie przyciska do muru, bo ja tego nie lubię. Awanturę zrobiłem tamtemu jegomości, nie panu, bo państwu Plawickim nic się od pana nie należy, a tamten ma im płacić rocznie z Krzemienia tyle, ile się zobowiązał, a jak zdewastuje Krzemień, to nie będzie miał z czego. Chciałeś pan wiedzieć, dlaczego tamtemu nawymyślałem, to pan wiesz.

Polaniecki musiał przyznać w duchu, że w odpowiedzi Gątowskiego jest pewna słusz-

ność, począł też natychmiast rozmowę z innej strony.

— Pan Maszko prosił mnie na świadka, — rzekł — dlatego mieszam się do tej sprawy. Jako świadek, będę u pana jutro, dziś zaś, jako człowiek prywatny i jako krewny, choć daleki, pana Pławickiego, mogę panu powiedzieć tylko to: oddałeś najgorszą usługę panu Pławickiemu, i jeśli i on, i panna Marya, zostaną bez kawałka chleba, to panu będą to zawdzięczali. Tak jest!

Oczy Gątowskiego stały się zupełnie okrągłe.

— Bez kawałka chleba?... mnie będą zawdzięczali?...

— Tak jest — powtórzył Polaniecki. — Słuchajże pan dobrze. Bez względu na to, jaki będzie rezultat zajścia... okoliczności są takie, że może ono mieć najfatalniejsze skutki. Mówię to panu pod słowem: pan prawdopodobnie zrujnowałeś pana Pławickiego i odjąłeś i jemu, i córce, sposób, a raczej środki do życia.

Jeśli Gątowski istotnie nie lubił, gdy go przyciskano do muru, to teraz była pora do okazania owego wstrętu. Lecz Gątowski stracił zupełnie głowę i stał w przerażeniu, z otwartymi ustami, nie umiejąc znaleźć odpowiedzi, i dopiero po chwili zaczął:

— Co? jak? jakim sposobem? Bądź pan

pewny, że do tego nie przyjdzie, choćbym miał im Jałbrzyków oddać.

Lecz Połaniecki przerwał:

— Panie Gątowski, szkoda słów! Ja waszą okolicę znam od małego dziecka. Co to jest Jałbrzyków? i co pan masz na Jałbrzykowie?

Była to prawda. Jałbrzyków był wioszczyną o dziewięciu włókach, a przytem Gątowski miał, jak to bywa, odziedziczonych długów wyżej uszu na Jałbrzykowie — więc ręce opadły mu zupełnie.

Przyszło mu jednak do głowy, że może rzeczy tak nie stoją, jak je przedstawia Połaniecki, i chwycił się tej myśli, jak deski zbawienia.

— Ja tego nie rozumiem, co pan mówi — rzekl. — Bóg mi świadek, że wolalbym własną zgubę, niż zgubę państwa Pławickich, i to pan wiedz, że chętniebym nadkręcił karku panu Maszce, ale jeśli trzeba, jeśli chodzi o państwo Pławickich, to niech mnie pierwej dyabli wezmą. Ja byłem zaraz po tem zajściu u pana Jamisza, który teraz jest na kadencyi, i przyznałem mu się do wszystkiego. Powiedział mi, żem głupstwo zrobił, i zwymyślał mnie — prawda! Gdyby o moją skórę chodziło — co mi tam! palcemby nie ruszył; ale skoro to co innego, więc co mi powie pan Janisz, to zrobię, choćby mnie

miał potem piorun trzasnąć. Pan Jamisz mieszka w Saskim hotelu i ja też.

Na tem rozstali się, i Gątownski poszedł do swego hotelu, klnąc Maszkę, siebie i Polanieckiego. Czuł, że musiało tak być, jak Polaniecki mówił, że stało się jakieś nieszczęście niepowetowane, i że wyrządził ciężką krzywdę tej samej pannie Maryi, za którą oddałby ostatnią kroplę krwi; czuł, że ostatecznie, jeśli była dla niego jakakolwiek nadzieja, to ją zniszczył. Pławicki zamknął mu drzwi. Panna Marya wyjdzie za Polanieckiego — chybaby on sam jej nie chciał. Ale ktoby jej nie chciał? I jednocześnie biedny Gątownski ujrzał jasno, że między tymi, którzyby mogli pożądać jej ręki — on, w każdym razie, byłby ostatnim, za którego by wyszła. «Co ja mam? — Nic, — mówił sobie — ten parzywy Jalbrzyków i nic więcej: ani rozumu, ani pieniędzy. Każdy coś wie, tylko ja nic nie wiem! Każdy coś zna, tylko ja nic nie znam. Taki Polaniecki ma i naukę i pieniądze, a że ja ją lepiej kocham — dyabli mi z tego i tyleż jej, skorom taki dureń, że jeszcze jej przez to szkodzę, nie pomagam».

Polaniecki, wracając do domu, myślał o Gątownskim to samo i wogóle nie miał dla niego ani iskry współczucia. W domu zastał Maszkę,

który go czekał od godziny i który rzekł mu na powitanie:

— Drugim świadkiem będzie Kresowski.

Polaniecki skrzywił się nieco i odpowiedział:

— Widziałem Gątowskiego.

— I co?

— To dureń.

— Przedewszystkiem. Czy mówileś mu co w mojem imieniu?

— W twojem nie. Mówilem mu jako krewny pana Plawickiego, że oddał mu najgorszą w świecie usługę.

— Nie daleś żadnych wyjaśnień?

— Żadnych. Słuchaj, Maszko, tobie chodzi o pełną satysfakcyę; mnie także nic na tem nie zależy, żebyście sobie we lby postrzelali. Na mocy tego, com Gątowskiemu powiedział, gotów jest przystać na wszystkie twoje warunki. Na szczęście, udał się do radcy Jamisza, a to jest rozsądny i łagodny człowiek, który także rozumie, że Gątowski postąpił jak dureń, i rad będzie dać mu lekcycę.

— Dobrze — rzekł Maszko. — Daj mi pióro i kawalek papieru.

— Masz na biurku.

Maszko siadł i zaczął pisać, a gdy skończył, podał zapisaną ćwiartkę Polanieckiemu.

Polaniecki czytał, co następuje:

«Oświadczam niniejszem, że napadłem na pana Maszkę po pijanemu, w stanie nieprzytomnym, i nie zdając sobie sprawy z tego, co mówię. Dziś wytrzeźwiony, wobec moich świadków i świadków pana Maszki, oraz osób, które były przy napaści obecne, uznaję mój postępek za grubijański i bezrozumny, i z największym żalem i pokorą odwołuję się do wyrozumiałości i łaski pana Maszki, prosząc go o przebaczenie i wyznając publicznie, że jego postępowanie było i jest we wszystkim wyższe nad sądy ludzi do mnie podobnych».

— Gątownski ma to wydeklamować, a następnie podpisać — rzekł Maszko.

— To jest dyabło nielitościwe. Na to się nikt nie zgodzi.

— Uznajesz, że ten blazen dopuścił się względem mnie czegoś niesłychanego?

— Uznaję.

— Rozumiesz, jakie skutki ta awantura dla mnie pociągnie?

— Tego nie można wiedzieć.

— To ja wiem — i powiem ci tylko tyle: te panie żalują w duszy, że się związały, i skorzystają z lada pozorów, który je osłoni przed światem. To jest pewne. Jestem zgubiony, niemal bez ratunku.

— Do licha!

— Rozumiesz teraz, że to, co mnie nurtuje, musi się na kimś skrupić — i że Gałowski musi mi w taki lub owaki sposób za krzywdę zapłacić.

Polaniecki ruszył ramionami.

— Nie rozczulam się i ja nad nim. Niech tak będzie.

— Kresowski przyjdzie po ciebie jutro o dziewiątej.

— Dobrze.

— Zatem do widzenia. Ale! jeśli zobaczysz jutro Pławickiego, powiedz mu, że w Rzymie umarła jego krewna, Płoszowska, po której spodziewał się spadku. Testament był tu u regenta Podwójnego i ma być jutro otwarty.

— Dobrze. Pławicki już o tem wie, bo ona umarła przed pięciu dniami.

Polaniecki został sam. Przez czas jakiś myślał o swojej sumie, nie przewidując sposobu, w jaki ją będzie mógł od zbankrutowanego Maszki wydobyć — i myśl ta zaniepokoiła go. Przypomniawszy sobie jednak, że suma ta nie mogła być przed całkowitą splatą wykreślona z hipoteki Krzemienia, że więc w ostatecznym razie zostanie, jak był dawniej, wierzycielem Krzemienia. Krzemień nie był wprawdzie wiele lepszym dłużnikiem od Maszki, nie była to więc wielka pociecha — ale na razie należało na niej poprzestać.

Później też przyszło mu do głowy co innego. Począł wspominać Litkę, panią Emilię, Marynię, i uderzyło go to, jak tego rodzaju świat kobiety, czysto uczuciowy, którego główny interes polega na kochaniu, na szczęściu blizkich, różny jest od świata męskiego, pełnego współzawodnictw, walki, czubienia się, gniewów, pojedynków, wysilków dla zrobienia majątku i zmęczenia. I uznał w tej chwili, czego już nie czuł dawno, że jeśli jest na świecie spoczynek, szczęście, ukojenie, to należy ich szukać u kochającej kobiety. Było to poczucie wprost przeciwne jego filozofii z dni ostatnich, dlatego zaniepokoiło go. Ale porównywając dalej te dwa światy, nie mógł się jednak oprzeć uznaniu, że ten kobiecy, kochający, ma swoją zasadę i swoją rację bytu.

Gdyby Połaniecki był bieglejszy w Piśmie św., byłyby mu niechybnie przyszły do głowy słowa: «Marya lepszą część obrala».

XXIV.

Kresowski spóźnił się nazajutrz blizko o godzinę. Był to, według znanego u nas określenia, jeden z administratorów świeżego powietrza

w mieście, to jest jeden z ludzi nie robiących nic. Miał dość znane nazwisko i stracił dość znaczny majątek. Na tych dwóch podstawach stał, żył, bywał wszędzie i uznawany był powszechnie za porządnego człowieka. Jak powyższe tytuły mogą na to wszystko wystarczyć, to jest tajemnica wielkich miast; dość, że nietylko stanowisko Kresowskiego było uznane i zapewnione, ale uważano go nadto za człowieka, do którego w delikatnych sprawach można się bezpiecznie udać. W sądach honorowych używano go za arbitra, w pojedynkach na świadka. Wysokie sfery finansowe zapraszały go rade na obiady, śluby, chrzciny i tym podobne uroczystości, albowiem miał patrycyuszowską łysinę i bardzo polską fizyognomię, doskonale więc stół ubierał.

Był to człowiek w gruncie rzeczy ogromnie rozczarowany do ludzi, trochę suchotnik i bardzo zgryźliwy; posiadał jednak pewną dozę humoru, która pozwalała mu widzieć śmieszne strony rzeczy, zwłaszcza bardzo drobnych, w czem przypominał nieco Bukackiego — i drwić z własnej zgryźliwości. Pozwalał także żartować z niej innym, ale pod miarę. Gdy ją przebrano, wyprostowywał się nagle i przyciskał ludzi aż nadto, wskutek czego uważano go za niebezpiecznego. Opowiadano o nim, że w kilku wy-

padkach znalazł odwagę tam, gdzieby wielu jej brakło, i że wogóle umiał «wysoko nos nosić». Nie szanował nikogo i niczego, prócz swojej, istotnie, bardzo szlachetnej fizyognomii, nie szanował zwłaszcza czasu, albowiem spóźniał się zawsze i wszędzie.

Wszedłszy obecnie do Polanieckiego, począł też zaraz po przywitaniu tłumaczyć swoje opóźnienie.

— Czy pan nie zauważył, — rzekł — że jeśli się człowiekowi bardzo śpieszy i bardzo na pośpiechu zależy, wówczas najniezbędniejsze do wyjścia rzeczy giną umyślnie, jakby w wodę wpadły. Służący szuka kapelusza — niema kapelusza, szuka kaloszy — niema kaloszy, szuka się portmonetki — niema portmonetki. O zakład, zawsze!

— Bywa tak — rzekł Polaniecki.

— Ja nawet wynalazłem na to sposób. Gdy mi coś tak jak w wodę wpadnie, siadam, uśmiecham się i mówię głośno: «Pasyami lubię tak coś zgubić; człowiek szuka, ożywia się, rusza, zapelnia czas — to niezmiernie zdrowe i przyjemne». I co pan powiesz? Wtedy odrazu znajduje się to, co zginęło.

— Możnaby wziąć patent na taki wynalazek — odpowiedział Polaniecki. — Ale mówmy o sprawie Maszk!

— Mamy iść do radcy Jamisza. Maszko przysłał mi cyrograf, który napisał dla Gątowskiego. Nie chce ani słowa zmienić — ale to niemożliwe, zbyt ostre — to nie może być przyjęte... Rozumiem, że czeka nas pojedynek, nic więcej — innego wyjścia nie widzę.

— Gątowski zdał się ze wszystkim na pana Jamisza i robi wszystko, co mu pan Jamisz każe, a pan Jamisz jest, naprzód, także oburzony na Gątowskiego, a powtóre człowiek chory, łagodny, spokojny, tak, że kto wie, czy nawet takich warunków nie przyjmie.

— Pan Jamisz jest safandula — odparł Kresowski. — Ale chodźmy, bo późno.

I wyszli. Po chwili sanki zatrzymały się przed Saskim hotelem. Pan Jamisz czekał na nich, ale przyjął ich w szlafroku, był bowiem istotnie niezdrów. Kresowski, patrząc na jego twarz inteligentną, ale pognębioną i nalaną, pomyślał:

— Ten istotnie gotów się zgodzić na wszystko.

— Siadajcież panowie — rzekł pan Jamisz. — Przyjechałem dopiero od trzech dni — i choć nie czuję się dobrze, rad jestem, bo może się uda awanturę załagodzić. Wierzcie mi, że pierwszy natarłem uszu mojemu paliwodzie.

Tu począł ramionami ruszać, a następnie zwróciwszy się do Polanieckiego, spytał:

— Co tam u Plawickich? Nie byłem dotąd u nich, a tęskno mi do mojej złotej Maryni...

— Panna Marya zdrowa — odrzekł Polański.

— A staruszek?...

— Umarła przed kilku dniami daleka jego krewna, bardzo bogata, więc liczy na spadek. Wczoraj mi to mówił, ale ja slyszalem, że cały majątek zapisała na dobroczynność... Testament dziś, albo jutro będzie otwarty...

— Bógby ją natchnął, żeby Maryni co zapisała. Ale przystąpmy do sprawy. Moi panowie, nie potrzebuję wam mówić, że naszym obowiązkiem jest skończyć ją, o ile można, zgodnie.

Kresowski sklonił się. Nudzily go podobne wstępy, które już slyszal Bóg wie ile razy w życiu, więc przerwał:

— Jesteśmy tym obowiązkiem głęboko przejęci!...

— Tak się też spodziewałem — odrzekł dobrodusznie pan Jamisz. — Ja sam przyznaję, że pan Gątownski nie miał najmniejszego prawa postąpić, jak postąpił; uznaję nawet za słusne, żeby był za to ukarany, więc sklonię go do wszelkich, nawet bardzo znacznych ustępstw, mogących zapewnić panu Maszce należyłą satysfakcyę.

Kresowski wydobyl z kieszeni złożony arkusik listowego papieru i podał go z uśmiechem panu Jamiszowi, mówiąc:

— Pan Maszko nie wymaga też niczego więcej, tylko żeby pan Gątowski naprzód odczytał ten mały dokumencik wobec swoich i jego świadków, oraz wobec dependentów, obecnych przy awanturze, a następnie, by podpisał pod nim swoje szanowne nazwisko.

Pan Jamisz, znalazłszy między papierami okulary, nałożył je na nos i począł czytać. Lecz w miarę, jak czytał, twarz jego zaczerwieniła się, następnie pobladła, następnie zaczął sapać, następnie i Polaniecki i Kresowski prawie oczom nie chcieli wierzyć, że to jest ten sam pan Jamisz, który przed chwilą gotów był do wszelkich ustępstw.

— Moi panowie, — rzekł przerywanym głosem — pan Gątowski postąpił jak paliwoda, narwaniec, ale pan Gątowski jest... szlachcic, i oto, co w jego imieniu odpowiadam panu Maszce.

To rzekłszy, przedarł arkusik na cztery części i rzucił go na ziemię.

Rzecz nie była przewidziana. Kresowski począł się namyślać, czy pan Jamisz postępkami swymi nie ubliżył jego godności, jako świadka — i twarz poczęła mu w jednej chwili lodowacieć i ściągać się, jak u złego psa; ale Polanieckiemu,

który pana Jamisza lubił, podobalo się to jego oburzenie.

— Panie radco, — rzekł dobitnie — pan Maszko jest pokrzywdzony w tak niebywały sposób, że nie może mniej wymagać, ale ja i pan Kresowski przewidywaliśmy pańską odpowiedź, i zwiększa ona tylko szacunek, jaki dla pana mamy.

Radca Jamisz usiadł — i będąc nieco astmatykiem, oddychał czas jakiś ciężko; poczem uspokoił się i rzekł:

— Mógłbym panom zaofiarować przeproszenie ze strony pana Gątowskiego, ale całkiem w innych wyrazach; widzę jednak, że tracilibyśmy tylko czas, więc mówmy poprostu o zadośćuczynieniu z bronią w rękę. Za chwilę przyjdzie tu pan Wilkowski, drugi świadek Gątowskiego, i jeśli możecie poczekać, to ułożymy zaraz warunki.

— To się nazywa iść prosto do celu — rzekł Kresowski, całkiem pogodzony z panem Jamiszem.

— Ale się idzie z konieczności i ze smutnej konieczności — odpowiedział pan Jamisz.

Połaniecki spojrział na zegarek.

— Ja muszę o jedenastej być w biurze, — rzekł — ale jeśli pan radca pozwoli, wpadnę tu

kolo pierwszej, dla przejrzenia i podpisania warunków.

— Dobrze. Z góry pana uprzedzam, że rozumiem, iż warunki nie mogą być ułożone tak, by budziły śmiech ludzki, ale liczę też na to, że i pan Kresowski i pan, panie Połaniecki, nie zechcecie ich posuwać do ostateczności.

— Nie; możesz pan być pewny, że nie myślę być nadto zapalczywy kosztem cudzej skóry.

To rzekłszy, Połaniecki wyszedł i udał się do biura, gdzie istotnie czekało go kilka spraw dość ważnych, o których pod niebytność Bigiela musiał stanowić własną głową. W południe podpisał warunki, które były poważne, ale nie nadto ostre, następnie udał się na obiad, spodziewał się bowiem zastać w restauracyi Maszkę.

Maszko jednak widocznie musiał być u pań Krasławskich; natomiast pierwszą osobą, jaką Połaniecki ujrzał, był pan Pławicki, przybrany jak zwykle starannie, ogolony, opięty, wyświeżony, ale posępny, jak noc.

— Co tu szanowny wujaszek porabia? — spytał Połaniecki.

— Jak mam jakie zmartwienie, nie jadam zwykle w domu, by nie zasmuć Maryni — odparł pan Pławicki. — Idę gdziekolwiek i ot — skrzydelko kapłona, łyżeczka kompotu —

to wszystko, czego mi potrzeba. Siadaj, jeśli nie znajdziesz weselszego towarzystwa.

— Co się stało? — pytał Polaniecki.

— Giną stare tradycje — to się stało!

— Ba! to nie osobiste tylko wujaszka nie-szczęście.

Pan Plawicki spojrzal na niego zarazem ponuro i uroczyście rzekł:

— Dziś było otwarcie testamentu.

— No i co?

— I co? I gadają teraz po Warszawie: «Pamiętała o najdalszych krewnych!» Ładnie pamiętała! Marynia ma zapis — tak? — a wiesz jaki? Czterysta rubli dożywotnie. I to milionerka!! Pannie służącej się taki legat zostawia nie krewnej.

— A wujaszek?

— A ja nic. Rządca zapisała piętnaście tysięcy rubli, a o mnie ani dudu.

— Cóż robić?

— Giną stare tradycje! Iluż to ludzi dawniej dochodziło przez testamenta do majątków, a dlaczego? Bo istniała miłość i solidarność w rodzinach.

— I dziś jeszcze znam takich, którym tysiące spadły na głowę z zapisów.

— Tak. Są tacy, są! Jest takich pełno, ale ja do nich nie należę.

Pan Plawicki wsparł głowę na rękę, i z ust jego wyszło coś w rodzaju monologu:

— Że też zawsze i wszędzie gdzieś, komuś, ktoś, coś...

Tu westchnął i po chwili dodał:

— A mnie nigdy i nigdzie, nikt, nic...

A Połanieckiemu przysła nagle równie okrutna jak pusta myśl do głowy, by rozweselić pana Plawickiego, więc rzekł:

— E, ona umarła w Rzymie, a tutejszy testament dawniej pisany, przedtem zaś także istniał, jak słyszałem, całkiem inny. Kto wie, czy z Rzymu nie nadejdzie jaki kodycylek, i czy się wujaszek nie obudzi którego dnia milionerem.

— Nie przyjdzie! — odpowiedział pan Plawicki.

Lecz słowa Połanieckiego poruszyły go; począł na niego spoglądać, począł się kręcić, jakby krzesło, na którym siedział, było łóżem Majejowem — wreszcie rzekł:

— I ty uważasz, że to jest możliwe?

A Połaniecki odrzekł z prawdziwie szelmowską powagą:

— Nie widzę w tem nic niepodobnego.

— Gdyby wola Opatrzności...

— I to być może.

Pan Plawicki spojrzal po sali: byli sami;

nagle odsunął krzesło i rzekł, wskazując na kamizelkę:

— Chłopcze! chodź tu...

Polaniecki pochylił głowę, którą pan Pławicki dwukrotnie ucałował, mówiąc przytem ze wzruszeniem:

— Dodałeś mi otuchy, pokrzepiłeś mnie... Niech będzie, jak Bóg chce, ale pokrzepiłeś mnie. Przyznam ci się teraz, że do niej pisałem. Nic, tylko żeby się przypomnieć, że żyjemy. Pytałem, kiedy się kończy termin dzierżawy jednego folwarku. Nie miałem, rozumiesz, zamiaru brać tej dzierżawy, ale pozór był dobry.... Niech ci Bóg zapłaci za to, żeś mnie pokrzepił.... Ten testament mógł być zrobiony przed moim listem, potem pojechała do Rzymu, po drodze musiała myśleć o moim liście, a więc i o nas — i — powiadasz, że to być może?... Niech ci Bóg zapłaci!

Po chwili twarz jego rozjaśniła się zupełnie; nagle położył dłoń na kolanie Polanieckiego i, klasnąwszy językiem, zawołał:

— Wiesz co, chłopcze? Może w szczęśliwą godzinę powiedziałeś! A żebyśmy tak wypili buteleczkę Mouton-Rotschild, na rachunek tego kodycyłku — co?

— Dalibóg, nie mogę — rzekł Polaniecki,

który poczynał się trochę wstydzić swego konceptu; — nie mogę i nie będę.

— Musisz.

— Pod słowem, nie mogę. Mam pełno roboty i nie będę sobie czupryny zaprószał za nie w świecie.

— Koziel uparty, czysty koziel! To ja sam wypiję pół na szczęśliwą godzinę.

I kazal podać, poczem spytał:

— Co ty masz takiego do roboty?

— Rozmaite rzeczy. Zaraz po obiedzie muszę być u profesora Waskowskiego.

— Co to za figura ten Waskowski?

— A prawda! — rzekł Polaniecki: — na tego także spadł po bracie, który był górnikiem, majątek, i to znaczny. Ale on wszystko biednym rozdaje.

— Biednym rozdaje, a chodzi do porządnej restauracyi — lubię takich filantropów! Ja, gdybym miał co biednym rozdawać, to sobie wszystkiiegobym odmawiał.

— On długo chorował, i doktor kazal mu zdrowo jadać. Ale on i tu jada tylko to, co tanio kosztuje. Mieszka w ciupie i hoduje ptaki, a obok ma dwa wielkie pokoje — i wie wuj, kto w nich nocuje? — oto dzieci, które zbiera po ulicach.

— Mnie się też odrazu zdawało, że on ma coś tu!...

Tu pan Plawicki poczał się stukać palcem w czolo.

Waskowskiego Polaniecki nie zastał, więc po widzeniu się poprzedniem z Maszką, kolo piątej po południu wpadł do Maryni, bo jednak sumienie go gryzło z powodu bzdurstw, których nagadał Plawickiemu. «Stary — mówił sobie — będzie spijał wysokie wina na rachunek tego kodycyłu, a oni podług mnie, i tak nad stan żyją. Nie trzeba, żeby żart trwał zbyt długo».

Marynię zastał w kapeluszu. Miała iść do Bigielów, ale zatrzymała go, on zaś, ponieważ i tak nie przyszedł na długo, więc został.

— Winszuję pani spadku — rzekl.

— I ja rada jestem, — odpowiedziała — bo to coś pewnego, a w naszym położeniu, to ważna rzecz. Zresztą chciałabym być jak najbogatsza.

— Dlaczego?

— A pamięta pan, co pan raz mówił, że chciałby mieć tyle, żeby założyć fabrykę i nie prowadzić domu handlowego. Ja to zapamiętałam, a że każdy ma jakieś swoje pragnienia, więc i ja chciałabym mieć dużo, dużo pieniędzy.

Tu, myśląc, że może powiedziała zbyt wiele i zbyt wyraźnie, poczęła rozprostowywać faldy sukni, bo to pozwalało schylić jej głowę.

— Ja przychodzę jeszcze, żeby panią przeprosić — rzekł Polaniecki. — Dziś przy obiedzie nagadalem głupstw panu Pławickiemu, że panna Płoszowska może zmieniła testament i zapisała mu cały majątek. Nad moje spodziewanie wziął to poważnie. Nie chciałbym, żeby się ludził, i jeśli pani pozwoli, to zaraz pójdę do jego pokoju, by jakoś mu to wytłómaczyć.

A Marynia poczęła się śmiać.

— Ja już tłómaczyłam — i wylażał mnie, i to bardzo! Widzi pan, co pan nabroił. Naprawdę, ma pan za co przeproszać.

— Więc przepraszam.

I chwyciwszy jej rękę, począł ją okrywać pocałunkami, a ona zostawiła mu ją zupełnie, powtarzając niby żartobliwie, ale ze wzruszeniem:

— A niedobry pan Stach, niedobry pan Stach!

Polaniecki dnia tego czuł na ustach, aż do chwili snu, ciepło ręki Maryni i nie myślał ani o Maszce, ani o Gałowskim, powtarzał sobie natomiast z wielką uporczywością:

— Czas to rozstrzygnąć...

XXV.

Kresowski z doktorem i z pudelkiem, zawierającym pistolety, siedział w jednej karetki, a Polaniecki z Maszką w drugiej — i jechali na Bielany. Dzień był jasny i mroźny, pelen na dole różowej mgły. Koła obracały się ze skrzypieniem po zmarzłym śniegu, konie dymily i okrywały się szronem; na drzewach leżała okiść obfita.

— Mróz, bo mróz — rzekł Maszko. — Palce poprzymarzają nam do cyngłów.

— I miła rzecz zdejmować futra.

— To też zmiłujcie się, nie marudźcie. Mój drogi, powiedz Kresowskiemu, żeby odrazu przystąpił do rzeczy.

Tu Maszko począł przecierać zapocone binokle i dodał:

— Nim dojedziemy, słońce pójdzie w górę, i będzie ogromny blask od śniegu.

— To się prędko skończy — odpowiedział Polaniecki. — Skoro Kresowski stawil się na czas, na tamtych nie będziemy czekali, bo przywykli rano wstawać.

— Wiesz, co mnie w tej chwili zastanawia? — rzekł Maszko: — że jest w świecie jeden czynnik, z którym się nikt w swoich planach i w swoim działaniu nie liczy, a przez

który wszystko się może rozbić, zawieść, popsuć — to głupota ludzka. Dajmy na to, że ja mam dziesięć razy więcej rozumu niż mam, że nie mam na celu interesów pana Maszki, tylko, że jestem, przypuścimy, jakimś wielkim politykiem, jakimś Bismarckiem lub Cavourem, który potrzebuje zdobyć majątek dla przeprowadzenia swoich planów i który oblicza każdy krok, każde słowo — cóż? Przychodzi takie bydle, nieobliczalne dla żadnego umysłu — i wszystko odrazu w łeb bierze. To coś bajecznego! Zastrzeli mnie, czy nie zastrzeli — mniejsza na teraz o to, ale bestya popsula mi robotę całego życia.

— Któż to może obliczyć? — rzekł Polański. — To tak samo, jakby ci dachówka na głowę spadła.

— Właśnie dlatego wściekłość bierze.

— A co do tego, żeby cię miał zastrzelić — daj spokój.

Maszko ochłonął, przetarł znowu binokle i począł mówić:

— Mój drogi, widzę, że od chwili wyjazdu trochę mnie obserwujesz, a teraz chcesz mi dodać animuszu. I to jest naturalne. Z mojej strony, muszę cię także uspokoić i zaręczam ci pod słowem, że nie zrobię wam wstydu. To jest prosta rzecz, że czuję trochę niepokoju, ot tu —

w dolku, ale wiesz dlaczego? To, co stanowi niebezpieczeństwo życia, samo strzelanie do siebie, to jest nie! Niech mnie i jemu dadzą strzelby, niech nas puszcza w las, dalibóg pół dnia będę walil do tego durnia i pół dnia wytrzymał jego strzały. Ale ja już miałem jeden pojedynek w życiu, i wiem, co to jest. To ta komedia niepokoi człowieka, to przygotowania, to świadkowie, to myśl, że będą na ciebie patrzali, i obawa, jak się znajdziesz, jak się popiszesz. To jest poprostu wystąpienie publiczne — i kwestya miłości własnej — nie więcej. Dla natur nerwowych prawdziwe przejście. Ale ja nie jestem zbyt nerwowym. Rozumiem także, że pod tym względem mam wyższość nad przeciwnikiem, bom więcej przywykl do ludzi, niż on. Taki osieł ma wprawdzie mniej wyobraźni i nie potrafi, naprzykład, wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał jako trup, jak zacznie się psuć i tak dalej. Ale panować nad sobą ja jednak lepiej potrafię... Przytem powiem ci to jeszcze: Filozofia filozofią, ale w takich razach rzecz rozstrzyga temperament i namiętność. Mnie ten pojedynek do niczego nie prowadzi, w niczem nie ratuje, przeciwnie, może mnie wpędzić w kłopoty. A jednak nie umiem go sobie odmówić... Tyle mi się w duszy zebrało oburzenia, tak tego osła nienawidzę, takbym go chciał zgnieść,

zdeptać, że w tym razie przestaję rozumować. I tego możesz być pewny, że jak tylko zobaczę tę balwańską twarz, zapomnę o niepokoju, zapomnę o komedyi, a będę widział tylko jego.

— To dość rozumiem — rzekł Polaniecki.

A na twarzy Maszki wypieki powiększyły się i stały się sine od mrozu, przyczem wyglądał zarówno zawzięcie, jak szpetnie.

Tymczasem nadjechali. Jednocześnie prawie zaskrzypiała i karetą, wioząca Gątowskiego, pana Jamisza i Wilkowskiego, którzy wysiadłszy, poczęli się kłaniać przeciwnikom, poczem w siedmiu, licząc z doktorem, udali się w głąb lasu, na miejsce, upatrzone już poprzedniego dnia przez Kresowskiego.

Furmani, spoglądając na owe siedm paletotów, rysujących się czarno i dziwacznie na śniegu, poczęli na siebie mrugać:

— Wiecie, co to będzie? — spytał jeden.

— Albo mi to pierwszyczna! — odpowiedział drugi.

— Niech się świat poleruje, niech się kpy biją!

Tamci w tym czasie, cłapiąc ciężkimi kaloszami i wyrzucając z nozdrzy słupy białej pary, szli ku drugiemu brzegowi lasu. Po drodze, pan Jamisz, trochę wbrew regulom obowiązującym w podobnych okolicznościach, zbliżył się do Polanieckiego i począł mówić:

— Chciałem szczerze, by mój paukant przeprosił pana Maszkę, ale w takich warunkach niepodobna.

— Ja proponowałem Maszce także, żeby złągodził to, co napisał — i nie chciał...

— To i niema wyjścia. Wszystko to bardzo głupie, ale niema wyjścia!

Polaniecki nie odpowiedział i szli w milczeniu. Pan Jamisz znów począł mówić:

— Ale! Słyszałem, że Marynia Pławicka ma jakiś zapis?

— Mały, ale ma.

— A stary?

— Zły, że cały majątek nie jemu zapisany. Pan Jamisz uderzył się rękawiczką po czole:

— On ma trochę tu, ten Pławicki.

Potem, obejrzawszy się naokół, rzekł:

— Jakoś daleko idziemy.

— Zaraz będziemy na miejscu.

I szli dalej. Słońce podniosło się nad zarośla. Od drzew kładły się na śniegu błękitnawe cienie, ale coraz więcej światła wnikało w las. Pochowane gdzieś po wierzchołkach wrony i kawki strząsały suchy jak puch śnieg, który sypał się bez szelestu na ziemię, tworząc pod drzewami małe, śpiczaste kopce. Wszędzie była wielka cisza i spokój. Ludzie tylko zmacili ją na to, by do siebie strzelać.

Stanęli wreszcie na skraju lasu, gdzie było widno. Krótkiej przemowy pana Jamisza o wyższości zgody nad wojną Maszko i Gątownski wysłuchali z uszami zakrytymi przez futrzane kołnierze; następnie, gdy Kresowski nabił pistolety, wybrali je i, zrzuciwszy futra, stanęli naprzeciw siebie, z lufami zwróconemi ku górze.

Gątownski oddychał pośpiesznie, twarz miał czerwoną i wąsy w soplach. Z całej jego postawy i twarzy widać było, że rzecz sprawia mu niezmierny przymus, że trzyma się przez wstyd i siłę woli, i że, gdyby poszedł za naturalnym porywem uczuć chwili, to wołałby skoczyć na przeciwnika i wyłomotać go kolbą od pistoletu, a choćby pięścią. Maszko, który poprzednio udawał, że go nie widzi, patrzył teraz na niego z twarzą pełną nienawiści, zawziętości i pogardy. Policzki jego całe były w plamach. Panował nad sobą jednak więcej od Gątownskiego i — przybrany w długi surdut, w wysokim kapeluszu na głowie, ze swojemi długimi bokobrodami — wyglądał aż nadto sztywnie, aż zbyt podobnie do aktora, grającego rolę pojedyknującego się dżentlemana.

— Zastrzeli niedźwiadka, jak psa — pomyślał Polaniecki.

Rozległy się słowa komendy, i dwa strzały

wstrząsnęły ciszą leśną, poczem Maszko zwrócił się do Kresowskiego i rzekł zimno:

— Proszę nabić pistolety.

Leecz jednocześnie przy nogach jego ukazała się na śniegu plama krwi.

— Pan jesteś ranny — rzekł, zbliżając się szybko doktor.

— Być może... proszę nabić...

I w tej chwili zachwiał się, albowiem istotnie był ranny. Kula zniosła mu sam wierzchołek kości w kolanie.

Pojedynek został przerwany. Tylko Gątownski stał jeszcze czas jakiś na miejscu z wytrzeszczonemi oczyma, zdumiony tem, co się stało.

Po pierwszym opatrunku zbliżył się jednak, popchnięty przez pana Jamisza, do Maszki i rzekł zarówno niezgrabnie, jak szczerze:

— Teraz przyznaję, że nie miał prawa natchodzić pana — i odwołuję wszystko, com powiedział, i przepraszam. A że pan jesteś ranny, to ja tego nie chciałem.

I po chwili, gdy odchodził z panem Jamiszem i Wilkowskim, słychać było, jak mówił:

— Jak Boga najszczerzej kocham, czysty przypadek — to pistolety takie, bo ja chciałem mu nad głowę...

Maszko tego dnia nie otworzył ust — na py-

tanie zaś doktora, czy rana bardzo mu dokuczła, potrząsał tylko głową na znak, że nie.

Bigiel, który był dniem pierwszej powrócił z Prus, z kieszeniami pełnemi kontraktów, dowiedziawszy się o wszystkim, co zaszło, mówił do Polanieckiego:

— Maszko jest niby inteligentny człowiek, ale, dalibóg, między nami każdy ma jakiegoś ćwieka... On naprzykład: ma wzięcie, ma mnóstwo doskonałych spraw; mógłby mieć znaczne dochody, robić majątek! Nieprawda! Woli się rzucać, wyciągać kredyt do ostatka, kupować majątki ziemskie, udawać wielkiego właściciela, lorda, być Bóg wie kim, byle nie być tym, kim jest. Jakie to wszystko dziwne, i tem dziwniejsze, że takie powszechne! Nieraz myślę, że życie samo w sobie jest niezłe, ale tu wszyscy je sobie psują brakiem równowagi w głowie i tą jakąś dyabelską fantazją, jakimś bzikiem, którego każdy ma za kolnierzem. Bo ja rozumiem, że człowiek chce mieć więcej niż ma i znaczyć więcej niż znaczy, ale niech nie dąży do tego w fantastyczny sposób. Maszce ja pierwszy przyznaję i spryt i energię, ale, wzięwszy wszystko na uwagę — dalibóg, on ma coś tu!

Tu Bigiel stuknął kilkakrotnie palcem w czoło.

Maszko tymczasem cierpiał z zaciśniętymi zębami, albowiem rana jego, nie będąc niebez-

pieczną dla życia, była jednak nadzwyczaj bolesna. Wieczorem zemdlął dwukrotnie w obecności Polanieckiego. Potem przyszło osłabienie, podczas którego owa hardość duszy, która przez cały dzień podtrzymywała młodego adwokata, wyczerpała się zupełnie. Po opatrunku, gdy doktor odszedł, leżał czas jakiś spokojnie, potem rzekł:

— Ależ bo ja mam i szczęście!

— Nie myśl o tem — odpowiedział Polaniecki; — dostaniesz większej gorączki.

Maszko zaś mówił dalej:

— Zelżony, ranny, zrujnowany — wszystko na raz!

— Powtarzam ci, że nie pora o tem myśleć.

Maszko wsparł się łokciem na poduszce, syknął z bólu i rzekł:

— Daj spokój. To ostatni mój czas, w którym mogę się wygadać z porządnym człowiekiem. Za tydzień lub dwa będę należał do ludzi, których się unika... Co mi tam gorączka! Jest coś nieznośnego w takiej zupełnej ruinie, w takim zarwaniu się ludzkiej doli, mianowicie, że potem pierwszy lepszy kretyn, pierwsza lepsza gęś, będą mówili: «Ja to oddawna wiedziałem» — «Ja to z góry przewidywałam». Tak! wszyscy zawsze wszystko przewidują... po fakcie — i z czło-

wieka, w którego piorun trzasł, robią w dodatku głupca lub waryata.

Połaniecki przypomniał sobie w tej chwili słowa Bigiela. Maszko zaś, dziwnym trafem mówił w dalszym ciągu tak, jakby chciał na nie odpowiedzieć:

— A myślisz, żem ja nie zdawał sobie sprawy, żem szedł za ostro, żem się pchał za gwałtownie, że chciałem być czemś więcej niż byłem, żem za wysoko nos nosił... Tej sprawiedliwości mi nikt nie odda, ale ty wiedz o tem, żem ja to sobie mówił... Tylko mówiłem sobie jednocześnie; tak potrzeba — to jedyna droga, żeby wypłynąć — i co? — może stosunki są krzywe, może ogólne życie idzie na opak, ale jednak, gdyby nie ta bezdennie głupia a nieprzewidziana i nieobliczalna awantura, byłbym wypłynął — właśnie dlatego, że taki byłem, jak byłem... Gdybym był skromnym człowiekiem, nie byłbym dostał panny Krasławskiej... U nas trzeba zawsze coś udawać — i jeśli mnie dyabli biorą, to nie przez moją pychę, tylko przez tamtego kpa.

— Przecie, u licha, nie możesz napewno wiedzieć, czy twoje małżeństwo nie dojdzie do skutku.

— Mój kochany, nie znasz tych kobiet. One w braku czego lepszego, zgodziły się na pana

Maszkę, bo panu Maszce dobrze się wiodło... Gdy byle cień padnie na mój majątek, moje położenie, moje stanowisko — porzucą mnie bez miłosierdzia, a potem góry będą na mnie waliły, by siebie osłonić przed światem... Co ty o nich wiesz? Panna Krasławska to nie panna Pławicka!

Nastąpiła chwila milczenia, poczem Maszko mówił dalej słabnącym głosem:

— Ta mogła mnie uratować... Byłbym dla niej wszedł na inną drogę, daleko spokojniejszą... Krzemień w takich warunkach byłby uratowany... Odrazu odpadał dług jej, renta Pławickiego... Byłbym wybrnął... Przytem, czy ty wiesz, że ja kochałem się w niej, jak student?... Ot, tak przyszło, niewiadomo skąd... Ale ona wolala się na ciebie gniewać, niż mnie kochać... Teraz to rozumiem. Na to niema rady...

Połaniecki, któremu nie w smak była ta rozmowa, przerwał ją i rzekł z odcieniem niecierpliwości:

— Dziwi mnie, że człowiek z twoją energią uważa wszystko za stracone, podczas gdy wszystko nie jest stracone. Panna Pławicka to jest przeszłość, nad którą sam zrobiłeś krzyżyk, oświadczając się o pannę Krasławską. Co do terażniejszości — zostałeś napadnięty — prawda, aleś się pojedynkował; jesteś ranny, ale tak, że

za tydzień będziesz zdrow — i ostatecznie te panie jeszcze ci nie oświadczyły, że z tobą zrywają. Póki tego nie będziesz miał czarno na białem, nie masz prawa o tem mówić... Jesteś chory i dlatego przedwcześnie odprawiasz nad sobą egzekwie. Ale ja ci powiem co innego. Trzeba tamtym paniom dać znać, co się stało. Czy chcesz, żebym jutro do nich poszedł? Zrobią potem, co chcą, ale niechże wiadomość mają z ust świadka, nie zaś przez miejscowych plotkarzy.

Maszko pomyślał przez chwilę i rzekł:

— Ja i tak chciałem do mojej narzeczonej napisać, ale jeśli ty pójdziesz, to będzie jeszcze lepiej. Nie mam nadziei, żeby mi ona dotrzymała — trzeba jednak zrobić co należy. Dziękuję ci. Ty potrafisz rzecz przedstawić z lepszej strony... Tylko ani słowa o jakichkolwiek kłopotach... Tę sprzedaż dąbrowy musisz zmniejszyć do zera — do grzeczności, jaką ci chciałem wyświadczyć... Szczerze ci dziękuję. Powiedz, że Gątownski mnie przeprosił...

— Masz kogo, coby przy tobie siedział?

— Mój służący i jego żona. Doktor przyjdzie jeszcze i przyprowadzi z sobą felczera. Mnie to dyabło dolega, ale nie czuję się źle.

— Zatem do widzenia.

— Bądź zdrow. Dziękuję ci. Ty jesteś...

— Śpij dobrze.

I Połaniecki wyszedł. Po drodze myślał o Maszce i myślał z pewnym gniewem: «Ten nie jest romantykiem — niczem mniej — ale jednak i ten poczuwa się do udawania czegoś w tym rodzaju... Panna Pławicka! kochał ją... byłby wszedł na inną drogę... mogła go uratować... ot, podatek płacony romantyzmowi — i w dodatku fałszywą monetą, bo w miesiąc jednak oświadczył się tamtej lalce — dla pieniędzy. Możem ja głupszy, ale tego nie rozumiem i w szczerłość takich zawodów, które się tak łatwo pocieszają, nie wierzę... Gdybym jedną kochał i doznał zawodu, tobym się z drugą w miesiąc nie ożenił. Niech mnie licho weźmie, jeślibym to zrobił! On ma jednak rację, że Marynia to inny gatunek, niż Krasławska... To nie ma i gadania: zupełnie inny! zupełnie inny!...»

I ta myśl była mu jednak ogromnie przyjemna. Wróciwszy do domu, zastał list Bukackiego z Włoch i kartkę Maryni, pełną niepokoju i pełną pytań z powodu wieści o pojedynku. Była w niej prośba o przysłanie wiadomości nazajutrz rano: co się stało, o co poszło, a zwłaszcza o wiadomość, czy wszystko naprawdę skończone i czy żadne nowe zajścia nie grożą.

Połaniecki, pod wpływem myśli, że to «inny gatunek, niż panna Krasławska» — odpisał ser-

deczniej, niż sam chciał, i oddawszy odpowiedź swemu służącemu, rozkazał, by została oddana nazajutrz o dziewiątej rano. Następnie wziął się do czytania listu Bukackiego, przyczem od samego początku począł wzruszać ramionami.

Bukacki pisał, co następuje:

«Niech Sakya-Muni wyprosi ci błogosławioną Nicość. Prócz tego powiedz Kaplanerowi, by należnych mi trzech tysięcy rs. nie wysyłał do Florencyi, ale zatrzymał u siebie do mego rozporządzenia. W tych dniach postanawiam pomyśleć o powzięciu zamiaru (czy uważasz, jakie to stanowcze?) zostania wegetaryaninem. Jeśli ta myśl mnie nie zmęczy, jeśli zamiar zmieni się w postanowienie, a postanowienie nie będzie nad moje siły, to przestanę być zwierzęciem mięsożernem, i życie będzie mnie mniej kosztowało. To cała sprawa. Co do ciebie, proszę cię na wszystko uspokój się, albowiem życie nie warte jest fatygi.

«Wiesz? Doszedłem, dlaczego Słowianie wolą syntezę od analizy. Bo są próżniakami, a analiza to pracowita rzecz. Syntetyzować można, paląc po obiedzie cygaro. Zresztą, mają słusność, że są próżniakami. We Florencyi jest dość ciepło, zwłaszcza na Lung-Arno. Chodzę sobie i robię syntezę szkoły florenckiej. Poznałem tu jednego zdolnego akwarelistę, także Słowianina,

który żyje ze sztuki, ale dowodzi, że sztuka — to jest świństwo, wykwitłe z mieszczańskiej chęci rozkoszy i z nadmiaru pieniędzy, które jedni nagromadzają kosztem drugich. Jednem słowem: sztuka, podług niego, to podłość i krzywda! Napadł na mnie, jak na psa, twierdząc, że być buddystą i zajmować się sztuką jest szczytem niekonsekwencji; ale ja jeszcze bardziej napadłem na niego i odpowiedziałem mu, że poczytywać konsekwencyę za coś lepszego od niekonsekwencji jest szczytem mieszczańskiego obskurantyzmu, mieszczańskich przesądów i podłości. Człowiek był zdumiony i stracił mowę. Namawiam go, żeby się powiesił, ale nie chce. Powiedz mi, czy ty jesteś pewny, że ziemia naprawdę kręci się koło słońca i czy to wszystko nie żarty? Mnie zresztą jest to wszystko jedno! W Warszawie żał mi było tego dziecka, które umarło. Tu często także o niem myślę. Jakie to głupie! Co robi pani Emilia? Ludzie mają z góry przeznaczone role na świecie, a jej przypadła rola ze skrzydłami i z cierpieniem. Poco ona była cnotliwa? Byłoby jej inaczej, weselej. Co do ciebie, człowieku, zrób mi jedną łaskę. Proszę cię na wszystko, nie żeń się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, żeby mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był

tem, czem ja jestem, ja zaś jestem bardzo miłym chłopcem, ale mam pewne wątpliwości, czy nieodzownym. Bądź zdrowa, zapalczywa energio, bądź zdrów, Domie handlowy, spółko komisowa, formo przechodnia, praco nalogowa, wysilku pieniężny, przyszły ojcie rodziny, hodowco dzieci i klopotów! Uściskaj ode mnie Waskowskiego. To także syntetyk. Niech Sakya-Muni otworzy ci oczy, abys poznał, że na słońcu jest ciepło, a w cieniu zimno, i że leżeć jest lepiej, niż stać. Twój *Bukacki*».

— Bigos! — pomyślał Polaniecki.

A następnie począł sobie mówić:

— Wszystko to jest sztuczne, wszystko to jest oszukiwanie siebie samego przez jakąś ostateczność. Ale gdy się człowiek do tego przyzwyczai, zmienia mu się to poniekąd w naturę, przyczem dyabli biorą rozum, energię, i dusza rozkłada się, jak trup. Można rzucić się lbem w taką przerąbl, w jaką rzucił się Maszko, lub w taką, jak Bukacki. W obu razach idzie się pod lód. Co u licha! musi być jednak jakieś zdrowe i normalne życie — trzeba mieć tylko trochę oleju w głowie. Takiemu Bigielowi jest jednak nieźle na świecie. Ma żonę, którą kocha, dzieci, które kocha, pracuje jak wół, ale ma zarazem w duszy wielkie przywiązanie do ogółu i swoją wiolonczełę, na której wygrywa przy

księżycu, zadzierając głowę do pułapu. Nie można powiedzieć, by to był człowiek zmateryalizowany. Nie. W nim jakoś godzi się jedno z drugim. I dobrze mu!

Połaniecki począł chodzić po pokoju i spoglądać od czasu do czasu na śmiejącą się zśród brzoź twarz Litki. Potrzeba przystąpienia z samym sobą do ścisłego obrachunku ogarniała go coraz silniej. Jako kupiec, wziął się do rozpatrywania swego: «credit» i «debet», co zresztą nie było trudne. W rubryce dodatnich stron jego życia niegdyś, główne miejsce zajmowało jego uczucie dla Litki. Była ona mu w swoim czasie tak drogą, że gdyby mu przed rokiem naprzykład powiedziano: «Bierz ją, jako swoje dziecko na własność», byłby ją wziął i uważał, że ma dla czego żyć. Ale teraz ten stosunek był tylko wspomnieniem i z rubryki szczęścia przeszedł do rubryki nieszczęścia. Co więc pozostawało? Naprzód samo życie, powtóre, ten dyletantyzm umysłowy, który, bądź co bądź, jest rozkoszą, dalej przyszłość, która zacięka, dalej użycie materialne i wreszcie Dom handlowy. Miało to swoją wartość, ale Połaniecki spostrzegł, że brak w tem celu. Co do Domu handlowego, Połanieckiemu podobały się powodzenia, jakich doznał, nie zaś rodzaj pracy, jakiej Dom wymagał. Przeciwnie: **rodzaj pracy**

nie wystarczał mu, był mu za ciasny, za lichi i gniewał go. Z drugiej strony dyletantyzm, książki, świat umysłowy, wszystko to miało znaczenie, jako okrasa życia, ale nie mogło stać się jego podstawą. «Bukacki — mówił sobie Polaniecki — wlaźł w to po uszy, tem chciał żyć — i zwichnął się, zniechęcił, wyjałowiał. Kwiaty są same w sobie rzeczą dobrą, ale ktoby chciał wyłącznie oddychać ich zapachem, ten się otruje». I istotnie, nie potrzebował być wielkim mędrcem, by naokolo spostrzedz mnóstwo ludzi zwichniętych, których zdrowie duchowe właśnie ów dyletantyzm umysłowy podkopał tak, jak morfina podkopuje zdrowie fizyczne.

I jemu samemu wyrządził on już dużo szkód, choćby dlatego, że zrobił z niego sceptyka. Od ciężkiej choroby uratował go tylko zdrowy organizm, odczuwający konieczną potrzebę wydania zbytku energii — i praca. Ale co będzie dalej — i czy może tak iść dalej? Na to pytanie odpowiedział sobie teraz stanowczo: nie! Skoro sprawy Domu handlowego nie były w stanie wypełnić mu życia i skoro było wprost niebezpieczne wypełniać je dyletantyzmem, więc należało wypełnić je czem innem, stworzyć sobie nowe światy, nowe obowiązki, otworzyć nowe widnokreśli, a na to była jedna rada — ożenić się.

Niegdyś, gdy sobie to mówił, widział przed sobą jakąś nieokreśloną postać, łączącą wszystkie przymioty moralne i fizyczne, ale bez ciała i bez imienia. Teraz była to postać rzeczywista. Miała spokojne niebieskie oczy, ciemne włosy, nieco za szerokie usta i nazywała się Marynia Pławicka. O kim innym nie mogło być nawet mowy, a tę Połaniecki przedstawił sobie tak realnie, że aż tętna w skroniach poczęły mu bić żywiej. Zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że teraz czegoś brakło w tem jego uczuciu dla Maryni, mianowicie tego, naokolo czego snuje się marzenie; tego, co nie śmie pożądać niczego, a spodziewa się wszystkiego; tego, co się boi, co drży, co klęczy, co mówi kochanej kobiecie: «do twoich nóg»; co z miłości, która jest żądzą, robi zarazem kult, który jest czcią, wprowadzając jakiś mistyczny odcień w stosunek mężczyzny do kobiety, robi z mężczyzny nie tylko kochanka, ale i wyznawcę. To przeszło. Połaniecki, myśląc teraz o Maryni, myślał trzeźwo, niemal zuchwale. Czuł, że może przyjść, wziąć ją i mieć, i że, gdy to uczyni, to z dwóch powodów: raz dlatego, że Marynia jest dla niego kobietą pociągającą więcej od wszystkich innych, a powtóre, że rozum nakazuje mu się żenić i żenić z nią.

— Bo ona — myślał — jest jednak ogromnie

pewna. Nic w niej niema wyjąłowanego, nic zeschłego. Egoizm nie zabił w niej serca — i to jest niezawodne, że taka nie będzie myślała tylko o tem, co jej się należy. To jest wcielona uczciwość, wcielony obowiązek — i w życiu trzeba będzie tego chyba pilnować, żeby nie za mało myślała o sobie. Jeśli rozum nakazuje mi się żenić, to uczyniłbym głupstwo, szukając innej.

Poczem zadal sobie pytanie: czy, poniechawszy Maryni, nie uczyniłby zarazem nieuczciwości? Litka połączyła ich. Coś w jego sercu podnosiło się na samą myśl sprzeciwienia się woli i ofierze tego drogiego dziecka. Gdyby jednak chciał postąpić wbrew tej woli, czy tak powinien się był zachowywać? Nie. W takim razie powinien był od śmierci Litki nie pokazywać się u Plawickich, nie widzieć Maryni, nie całować jej rąk, nie dać się unosić tej fali, która poniosła, być może, siłą wypadków, ale zanosła tak daleko, że dziś uczyniłby zawód Maryni i spadł w jej oczach do lichszej roli człowieka, który sam nie wie, czego chce. Bo musiałby być ślepym, żeby nie spostrzedz, że Marynia uważała się za jego narzeczoną i że, jeśli nie niepokoila się dotychczas jego milczeniem, to tylko dlatego, że przypisywała je żalobie, jaką w sercu nosili oboje po Litce.

— Więc patrząc od strony rozumu, trzeba się z nią żenić — mówił sobie Polaniecki; — od strony instynktu zachowawczego — trzeba; od strony zmysłów — trzeba; od strony uczciwości — trzeba! Zatem co? Zatem byłbym niedołągą i szuja, gdybym się wahał i nie uważał sprawy za rozstrzygniętą. To rzecz skończona!

Poczem odetchnął i począł chodzić po pokoju. Pod lampą leżał list Bukackiego. Polaniecki wziął go i począł czytać od miejsca, na które przypadkiem padły jego oczy:

«Proszę cię na wszystko, nie żeni się. Pamiętaj, że jeśli się ożenisz, że jeśli będziesz miał syna, jeśli będziesz pracował, by mu zostawić majątek, uczynisz to wyłącznie po to, by ten syn był tem, czem ja jestem...»

— Otóż, miły mydłku, — odpowiedział z pewną zawziętością Polaniecki — ożenię się, ożenię się z Marynią Pławicką; słyszysz? Będę robił majątek, a jeśli będę miał syna, to nie zrobię z niego dekadenta — rozumiesz?

I rad był z siebie.

W chwilę później spojrział na Litkę i uczuł, że go ogarnia nagle wzruszenie. Fala żalu za nią i uczucia dla niej podniosła się z nową siłą w jego sercu. Począł rozmawiać z dzieckiem, jak zwykle w ważniejszych chwilach życia rozmawia się z drogimi zmarłymi.

— Kociątko zadowolone? prawda? — pytał.

A ona śmiała się do niego z pośród brzoź, wymalowanych przez Marynię; zdawało się, że mruga oczyma i odpowiada:

— Tak, panie Stachu! tak!

Polanieckiemu oczy zaszczyły łzami.

Tego wieczoru, przed pójściem do łóżka, odebrał od służącego list, który nazajutrz rano miał być oddany Maryni, i napisał drugi, jeszcze serdeczniejszy, w następujących słowach:

«Droga pani. Gątownski zrobił Maszce awanturę dość niedorzeczną, z której wypadł pojedynk. Maszko jest lekko ranny. Przeciwnik przeprosił go na miejscu. Żadnych dalszych skutków nie będzie, chyba ten, żem się raz jeszcze przekonał, jaka pani jest dobra, troskliwa, najlepsza, i że jutro, jeśli pani pozwoli, przyjdę z podziękowaniem ucałować drogie i kochane ręce pani. Przyjdę po południu, bo rano po biurze muszę być u pani Krasławskiej, a potem pożegnać profesora Waskowskiego, choć, gdyby można, wolałbym dzień zacząć nie od nich. *Polaniecki*.

Po napisaniu tych słów spojrział na zegarek, i jakkolwiek była już jedenasta, kazał list odnieść nie nazajutrz, ale natychmiast.

— Wejdiesz przez kuchnię, — rzekł służącemu — i gdyby panienka spała, to zostawisz.

Poczem, zostawszy sam, miał do panienki następującą przemowę:

— Byłabyś chyba bardzo niedomyślna, gdybyś się nie domyśliła, dlaczego jutro przyjdę.

XXVI.

Pani Krasławska przyjęła Polanieckiego mocno zdziwiona z powodu wczesnej godziny, ale jednak przyjęła go, domyślając się, że przychodzi w jakiejś niezwyklej sprawie. On też, bez długich wstępów, opowiedział jej co zaszło, kłamiąc przytem tyle, ile było trzeba, by osłonić Maszkę przed podejrzeniem o bankructwo lub złe interesa.

Zauważył przytem, że podczas opowiadania stara dama trzymała utkwione w niego swoje zielone, wykute jakby z kamienia i pozbawione blasku oczy, i że żaden muskul jej twarzy nie drgnął.

Dopiero gdy skończył, rzekła:

— W tem wszystkiem nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego pan Maszko sprzedawał te dęby? To przecie jest niemalą ozdoba każdej rezydencji.

— Te dęby leżą opodal od domu — odpo-

wiedzial Polaniecki — i psują pole, bo pod ich cieniem nie chce się nic rodzić, a pan Maszko jest praktyczny człowiek. Zresztą, mówię szczerze, my jesteśmy dawni znajomi, i zrobił to dla mnie przez przyjaźń. Pani wie, że ja jestem kupcem; potrzebna mi była dębina, i Maszko odstąpił mi, ile mógł.

— Nie rozumiem w takim razie, dlaczego tamten młody człowiek...

— Jeśli pani zna radcę Jamisza, — przerwał Polaniecki — to on, jako blizki sąsiad Krzemienia i Jalbrzykowa, objaśni panią, że ten młody człowiek jest niespełna rozumu — i znany z tego w całej okolicy.

— W takim razie pan Maszko nie powinien się był pojedynkować.

— Pani, — rzekł z odcieniem niecierpliwości Polaniecki — w takich razach my mamy inne pojęcia od pań.

— Pan pozwoli, że powiem parę słów mojej córce.

Polaniecki pomyślał, że byłaby pora wstać i pożegnać się, ponieważ jednak przyszedł niejako na rekonensans i chciał przynieść jaką wiadomość Maszce, więc rzekł:

— Jeśli panie mają jakieś polecenia do pana Maszki, to wprost stąd idę do niego.

— Za chwilę — odrzekła pani Krasławska.

Połaniecki został sam i czekał dość długo, tak nawet długo, iż począł się niecierpliwić. Wreszcie weszły obie panie Krasławskie.

Panna, ubrana w białą «szmizetkę» z marynarskim krawatem i uczesana niedość starannie, wydała się jednak Połanieckiemu, mimo lekkiego zapalenia oczu i mimo kilku pryszczyków na czole, pokrytych pudrem, wcale ładna. Była w niej jakaś ponętna ociężałość, z której, wstając widocznie bardzo późno, nie zdołała się jeszcze otrząsnąć, i jakieś równie ponętne poranne zaniedbanie. Zresztą na anemicznej jej twarzy nie malowało się żadne wzruszenie.

I po ukłonach, zamienionych z Połanieckim, rzekła zimnym, spokojnym głosem:

— Niech pan będzie laskaw powiedzieć panu Maszce, że bardzo się zmartwiłam i przestraszyłam. Czy naprawdę rana jest lekka?

— Bezwarunkowo.

— Uprosiłam mamy, żeby pojechała doglądać pana Maszkę, a ja mamę odwiozę i będę w powozie czekała na wiadomość. Potem znów po mamę przyjadę — i tak codzień, póki pan Maszko nie będzie zupełnie zdrow. Mama taka dobra, że pozwala. Niech pan to powie panu Maszce.

Tu lekki, ledwo dostrzegalny rumieniec przemknął po jej bladej twarzy. Połanieckiemu,

dla którego słowa jej były zupełną niespodzianką i przejęły go zdziwieniem, wydała się teraz zupełnie ładną, i w chwilę później, idąc do Maszki, mówił sobie:

— No, jednak kobiety są lepsze, niż się wydają... To przecie zupełnie dwie karafki zmrożonej wody, a jednak ta dziewczyna ma trochę serca. Maszko się na niej nie poznał i będzie miał przyjemny zawód. Stara pojedzie do niego, zobaczy tych wszystkich biskupów i kasztelanów z krzywymi nosami, z których tak cieszył się Bukacki, i do reszty uwierzy w wielkość Maszki.

Tak rozmyślając, znalazł się w mieszkaniu Maszki i musiał czekać, albowiem trafił na chwilę opatrunku. Zaledwie jednak doktor wyszedł, Maszko kazał go prosić — i nie przywitawszy się nawet, spytał:

— Cóż, byłeś?

— Jak się masz, jak spałeś?

— Dobrze. Mniejsza z tem... Byłeś?

— Byłem. Powiem ci krótko: za kwadrans pani Krasławska przyjedzie cię doglądać. Panna kazała ci powiedzieć, że odwiezie tu matkę i będzie czekała na wiadomość, jak się masz. Kazała ci powiedzieć, że się bardzo przestraszyła, że jest bardzo nieszczęśliwa, ale Bogu dziękuje, że niema nic gorszego. Widzisz, Maszko!... Jeszcze

ci dodam, że jest ładna, że mnie ujęła — i idę sobie, bo nie mam czasu.

— Zmiluj się, zaczekaj chwilę. Czeka! mój kochany; ja nie mam gorączki — i jeśli to mówisz z obawy...

— Nudny jesteś! — przerwał Polaniecki. — Daję ci słowo, że mówię prawdę — i żeś przedwcześnie obgadywał własną narzeczoną.

Maszko opuścił głowę na poduszki i czas jakiś milczał, poczem rzekł, jakby do siebie:

— Jabym ją gotów naprawdę pokochać...

— To dobrze, — rzekł Polaniecki — bądź zdrów! Idę pożegnać Waskowskiego.

I zamiast do Waskowskiego, poszedł do Pławickich, których zresztą nie zastał. Pławicki nigdy w domu nie siedział, a o Maryni powiedziano mu, że wyszła przed godziną. Zwykle, gdy się idzie do kobiety, która budzi żywe zajęcie, gdy się przez drogę układa, co się jej powie, a potem nie zastaje się jej w domu, ma się dość głupią minę. Polaniecki to czuł i był zły. Wstąpił jednak do sklepu ogrodniczego i, zakupiwszy mnóstwo kwiatów, kazał je odesłać do Pławickich. Myśl, z jaką radością Marynia je przyjmie i z jak bijącym sercem będzie czekała wieczoru, sprawiła mu jednak tak wielką przyjemność, że, zjadłszy po drodze obiad, w najlepszym humorze wpadł do Waskowskiego.

— Przyszedłem pożegnać profesora — rzekł. — Kiedy profesor wyjeżdża?

— Jak się masz, kochany! — odrzekł Waskowski. — Musiałem odłożyć na parę dni, bo, widzisz, ja tu zimuję rozmaitych malców...

— Młodych Aryjczyków, którzy w wolnych chwilach wyciągają portmonetki z kieszeni?

— Nie... To jest, widzisz, to dobre dusze, ale bez dozoru nie można ich zostawić. Musiałem wystarać się o zastępcę, który będzie tu mieszkał na mojem miejscu.

— I który się tu upiecze. Jak profesor może wytrzymać w takim gorącu?

— Bo siedzę bez surduta, i pozwolisz, że go nie włożę. Trochę tu ciepło, ale transpiracya zdrowa rzecz, a już ten skrzydlaty drobiazg to przepada za gorącem.

Połaniecki obejrzał się naokoło. W pokoju było przynajmniej z pół tuzina trznadli, śmieciuszek, sikorek i czyżów, nie licząc wróbli, które, przyzwyczajone widać do karmienia, tłumami zaglądały przez okno. Profesor utrzymywał w pokoju tylko te ptaki, które wykupował od ptaszników, wróbli zaś nie puszczał do środka, twierdząc, że «nie byłoby końca, a byłaby krzywda kilka przyjąć, a innym odmówić». Pokojowe miały klatki, poprzyczepiane do murów i wewnętrznej framugi okna, ale szły do nich

tylko na noc, w dzień zaś latały wolno po całym pokoju, napelniając go świegotem i zostawiając ślady na książkach i rękopisach, którymi założone były stoły i wszystkie kąty.

Niektóre z ptaków, bardziej oswojone, siadały nawet na głowie Waskowskiego. Na podłodze trzeszczały pod nogami łuskwiny konopnego siemienia. Polaniecki, który to mieszkanie znalazł doskonale, wzruszył ramionami i rzekł:

— Wszystko to bardzo dobre, ale że profesor pozwala im czubić się, lub świadczyć sobie na własnej głowie, to dalibóg zanadto! Przytem tu jest zaduch.

— To wina świętego Franciszka z Asyżu, — odpowiedział Waskowski — bo ja od niego nauczyłem się lubić ten drobiazg. Mam nawet i parę gołębi, ale to piecuchy.

— Profesor pewnie zobaczysz się z Bukackim — rzekł Polaniecki; — miałem od niego list. Oto jest.

— Można przeczytać?

— Właśnie dlatego daję.

Waskowski przeczytał i gdy skończył, rzekł:

— Ja go zawsze bardzo kocham tego Bukackiego, to dobra dusza, ale... widzisz... on ma trochę tu!

I Waskowski zaczął stukać palcami w czoło.

— To już zaczyna mnie bawić! — zawołał

Polaniecki. — Wyobraź sobie profesor, od kilku dni ciągle ktoś stuka się w czoło i mówi o kimś ze znajomych: «On ma tu!» Mile społeczeństwo!

— Kiedy to trochę tak jest! trochę tak jest... — odpowiedział z uśmiechem Waskowski. — A wiesz ty, co to jest? Oto, zwyczajnie, aryjski niepokój ducha, w nas zaś, jako w Słowianach, więcej tego, niż na Zachodzie, bośmy najmłodszy z Aryów, i wskutek tego, ni rozum, ni serce, nie ułożyły się w nas jeszcze do równowagi. My, najmłodszy z Aryów, czujemy najżywiej, bierzem wszystko do serca najgoręcej i stosujemy do praktyki życia najzapaleczywiej... Ja dużo widziałem, jam to dawno spostrzegł... Co za dziwne natury!... Ot, na przykład, studenci niemieccy knajpują — i co? — i nie przeszkadza im to ani pracować, ani wyrabiać się na praktycznych ludzi. Ale niechże Słowianin przejmie się tą modą i zacznie knajpować, to zginął, to zaknajpuje się na śmierć! I tak we wszystkim. Niemiec będzie pesymistą, będzie pisał tomy o tem, że życie jest rozpaczą — i będzie przytem pił piwo, hodował dzieci, zbijał pieniądze, polewał ogród i sypiał pod pierzyną. Słowianin się powiesi, albo się zgubi szalonym życiem, rozpustą; zdusi się błotem, w które będzie wlaził umyślnie... Ja, mój drogi, pamiętam ludzi, którzy się na śmierć zabajronizowali... Ja dużo widziałem... Widziałem ludzi, którzy

kochając naprzykład chłopów, kończyli na tem, że się spijali wódką po karczmach. Niema u nas miary i nie może być, bo u nas do zbytniego przejmowania się każdą ideą dołącza się jeszcze lekkomyślność i — wiesz co? — oto próżność. Ach, Boże, jacy my wszyscy próżni! jak my chcemy wysunąć się zawsze naprzód, by nas widziano i podziwiano! Weź takiego Bukackiego; wlał — naprawdę wlał — po uszy w sceptycyzm, w pesymizm, w buddaizm, w dekadentyzm — bo ja wiem w co wreszcie? — przecie teraz i w tem panuje chaos — wlał tak głęboko, że go miazmy naprawdę zatruwają; ale czy myślisz, że on przytem nie pozuje? Co za dziwne natury! — zarazem najszczerze, najżywiej czujące, najmocniej wszystko biorące do serca — komedianckie. Kiedy się o tem myśli, to się je kocha, ale jednocześnie chce się śmiać i płakać.

Polaniecki przypomniał sobie, jak za pierwszą bytnością w Krzemieniu opowiadał Maryni o swoich czasach belgijskich, gdy, bawiąc się na wspólną z kilku młodymi Belgami w pesymizm, spostrzegł wreszcie, że on te wszystkie teorye bierze daleko więcej od nich do serca, i że tem samem więcej mu one psują życie. Więc teraz rzekł:

— To, co profesor mówi, to jest prawda.

Takie rzeczy widziałem i ja — i dlatego wszystkich nas dyabli wezmą.

Lecz Waskowski wlepił w zamarzłe szyby swoje mistyczne oczy i rzekł:

— Nie, nas wszystkich przygarnie kto inny. Ta gorącość krwi, ta zdolność przejmowania się ideą, to są wielkie podstawy do misyi, którą Chrystus słowiańskiemu światu wyznaczył.

Tu Waskowski wskazał poplamiony przez ptaki rękopis i rzekł tajemniczo:

— Widzisz, ja z tem jadę. To praca mojego życia... Chcesz, żebym ci to przeczytał?

— Dalibóg, nie mam czasu. Późno już.

— Prawda. Mroczy się. Więc ci powiem w krótkich słowach... Nietylko myślę, ale i najgłębiej wierzę, że Słowianie mają wielką misję do spełnienia.

Tu Waskowski przerwał, począł trzeć ręką czoło i rzekł:

— Co to za dziwna liczba: «trzy!...» Coś w tem jednak jest tajemniczego!

— Miał profesor mówić o misyi — rzekł niepokojnie Połaniecki.

— Nie bój się: to ma związek jedno z drugim. Bo, widzisz, są trzy światy w Europie: romański, germański i słowiański. Tamte już spełniły, co miały spełnić. Przyszłość — to ten trzeci.

— I co ten trzeci ma zrobić?

— Stosunki społeczne, prawo, stosunek człowieka do człowieka, życie pojedynczych ludzi i to, co się nazywa życiem prywatnem, jest, bądź co bądź, oparte na nauce chrześcijańskiej. Ułomności ludzkie wykrzywiają ją, ale jednak wszystko na niej stoi. Ale to dopiero połowa zadania spełniona — pierwszy okres!... Są ludzie, którzy myślą, że chrześcijaństwo się kończy. Nie. Dopiero drugi okres ma się zacząć. Chrystus jest w życiu pojedynczych ludzi, ale go nie ma w historyi — rozumiesz? Wprowadzić go do historyi, oprzeć na nim stosunki dziejowe, stworzyć miłość bliźniego i w znaczeniu dziejowem — oto misya, którą ma spełnić świat słowiański... Tylko brak mu jeszcze świadomości, i trzeba mu na tę misję oczy otworzyć.

Połaniecki milczał, bo nie miał co odpowiedzieć. Waskowski zaś mówił dalej:

— Oto, nad czem całe życie myślałem — i tom wypowiedział w tej oto pracy... (Tu wskazał rękopis). To robota całego mojego życia. To ta wskazana misya.

«Na którą tymczasem trznadle... — pomyślał Połaniecki — i zapewne tak jeszcze będzie długo».

Głośno zaś rzekł:

— I profesor spodziewa się, że jak taka rzecz wyjdzie z druku...

— Nie, ja się niczego nie spodziewam. Ja mam trochę miłości, ale ja za lichy człowiek, za marny umysł... To zginie, jakby kto kamień rzucił w wodę, ale będą fale, będą kola. Niech potem przyjdzie jaki wybraniec... Bo ja wiem?... Co przeznaczone, to nie minie. Oni nie potrafią wyrzec się misyi, choćby sami chcieli... I widzisz, natur ludzkich nie trzeba odciągać od ich przeznaczenia, ani przemocą zmieniać. Co dobre gdzieindziej, to może być zle u nas, bo nas do czego innego Bóg stworzył. Zresztą, próżna robota. I ty próżno w siebie wmawiasz, że chcesz tylko pieniądze robić, i ty musisz pójść za głosem przeznaczenia i natury...

— Ja nawet idę, bo się żenię... To jest: żenię się, jeśli mnie zechcą.

A Waskowski objął go przez pól:

— Bodajże cię! A to doskonale! Niech cię Bóg blogosławi... Wiem! Wam to nakazała ta dziecinka... A pamiętasz, jakem ci mówił, że i ona ma coś do spełnienia, że nie umrze, póki tego nie spełni? Niechże jej Bóg da światło, a wam obojgu blogosławieństwo... Marynia to przecie złoto!...

— A kochanemu profesorowi szczęśliwej drogi i szczęśliwej misyi.

— I tobie, i tobie — czego sobie sam życzysz.

— Ja? czego sobie życzę? — mówił wesolo Polaniecki. — A tak z pół tuzina małych misjonarzy...

— A urwis! zawsze był urwis! — odpowiedział Waskowski. — No leć, leć, ja tam do was jeszcze przyjdę...

Polaniecki wyleciał, wsiadł w dorożkę i kazał się wieźć do Pławickich. Po drodze układał sobie, co powie Maryni, i ułożył sobie mówkę, w miarę uczuciową, w miarę trzeźwą, jak przystoi na pozytywnego człowieka, który znalazł wprawdzie to, czego szukał, ale który żeni się także i przez rozum.

Marynia spodziewała się go widocznie o wiele później, bo światła w pokojach nie były zapalane, chociaż ostatnie blaski zachodu gasły już na dworze.

Polaniecki począł na powitanie całować jej obie ręce i, zapomniawszy zupełnie o rozumnej przemowie, spytał trochę niepewnym i wzruszonym głosem:

— Odebrała pani kwiaty i list?

— Tak...

— I domyśla się pani, dlaczego przysłał?

Maryni serce biło tak mocno, że nie zdobyła się na odpowiedź.

Więc Polaniecki pytał dalej, coraz bardziej przerywanym głosem:

— Czy pani zgadza się na wolę Litki? Czy pani mnie chce?

— Tak — odpowiedziała Marynia.

Teraz on, w poczuciu, że wypada jej dziękować, napróżno szukał słów. Przyciskał tylko coraz mocniej do ust jej ręce, i zarazem trzymając je obie, przyciągał ją zlekka, coraz bliżej i bliżej. Nagle owionął go płomień; objął ją i począł ustami szukać jej ust. Lecz ona odwróciła głowę, tak, że mógł tylko całować włosy na jej skroniach. Przez chwilę, w mroku, słychać było tylko ich przyśpieszone oddechy, wreszcie Marynia wyrwała mu się z ramion.

W kilka minut później służąca wniosła światło. Polaniecki, ochłonawszy, przestraszył się teraz własnego zuchwalstwa i począł z niepokojem spoglądać w oczy Maryni. Był pewien, że ją obraził, i był gotów przeproszać. Tymczasem ze zdziwieniem spostrzegł, że w jej twarzy nie było żadnych śladów gniewu. Oczy miała spuszczone, policzki pałające, włosy nieco w nieładzie; znać było, że jest pomieszana i jakby odurzona — ale przytem przejęta tylko takim pełnym słodyczy strachem kobiety zakochanej, która, przestępując nowy próg, czuje, że trzeba coś na nim poświęcić, ale która przestępuje go

i ulega dlatego, że chce, że kocha i że powinna wobec praw, które mężczyźnie przyznaje.

Polanieckiego jednak przejęło na jej widok żywe uczucie wdzięczności. Zdawało mu się teraz, że kocha Marynię tak, jak ją kochał dawniej, przed śmiercią Litki. Uczuł też, że w tej chwili nie może być dla niej zbyt delikatnym, ani zbyt wspaniałomyślnym, więc wzięwszy znowu jej rękę, podniósł ją do ust z wielką czcią i rzekł:

— Ja wiem, że pan nie wart — to niema i gadania! Ale Bóg widzi, że co będzie w moich silach, to zawsze dla pani zrobię.

A Marynia spojrzała na niego wilgotnemi oczyma:

— Byle pan był szczęśliwy...

— Czy z panią można nie być? Ja to widziałem od pierwszej chwili w Krzemieniu. Ale potem, pani wie: wszystko się popsulo. Myślałem, że pani wyjdzie za Maszkę, i com się nagryzł!...

— To ja byłam zła i przepraszam... mój drogi — panie Stachu!...

Polaniecki zaś zawolał z wielkim zapalem:

— Jeszcze dziś profesor mówił: «Marynia to złoto!» I prawda! wszyscy to mówią — nie tylko złoto, ale skarb — bardzo drogi!

A jej dobre oczy poczęły się do niego śmiać:

— Może i bardzo ciężki...

— Niech pani o to głowa nie boli; ja mam dość sił i potrafię go na rękę nosić... Teraz przynajmniej mam po co żyć.

— I ja — odpowiedziała Marynia.

— Czy pani wie, że ja już tu byłem? Przysłałem potem te chryzantemy. Po wczorajszym liście pani powiedziałem sobie: to poprostu anioł, i trzeba nie mieć ani serca, ani piątej kleпки, żeby dłużej zwlekać.

— Taka byłam niespokojna o ten pojedynek — i nieszczęśliwa. Ale to już naprawdę skończone?

— Daję pani słowo — najzupełniej.

Marynia chciała dalej wypytywać, ale tymczasem nadszedł pan Pławicki; chwilę słychać było, jak, pokaszłując trochę, stawiał laskę i zdejmował paletot w przedpokoju, potem otworzył drzwi i, ujrawszy ich samych, rzekł:

— Tak we dwoje sobie siedzicie?

A Marynia, podbiegłszy ku niemu, położyła mu ręce na ramionach i, nadstawiając czoło do pocałunku, odrzekła:

— Jak narzeczeni, papo.

Pan Pławicki cofnął się nieco i spytał:

— Jak powiadasz?

— Mówię, — odpowiedziała, patrząc mu spo-

kojnie w oczy — że pan Stanisław chce mnie wziąć, i że jestem bardzo szczęśliwa...

Polaniecki przybliżył się, uściskał z całej siły pana Pławickiego i rzekł:

— Chcę wziąć, za zgodą i pozwoleniem wujaszkowym.

Lecz pan Pławicki zawołał: «Dziecko moje!» i podążywszy chwiejnym krokiem do kanapy, siadł na niej ciężko.

— Pozwólcie... — mówił — wzruszenie... Nic to — nie zważajcie na mnie... Moje dzieci!... Jeśli wam to potrzebne — błogosławię z całego serca...

I błogosławił, przyczem opanowało go jeszcze większe wzruszenie, bo Marynię kochał jednak rzeczywiście. Głos wiązał mu co chwila w gardle, i oboje młodzi słyszeli tylko takie oderwane zdania lub wyrazy, jak naprzykład: «Jakiś kąt przy was — dla starca, który całe życie pracował...», «Jedynе dziecko...», «Sierota...»

Oni zaś uspokajali go na wspólkę i uspokoili tak dobrze, że w pół godziny potem pan Pławicki uderzył nagle po ramieniu Polanieckiego i rzekł:

— Ach, rozbójniku! Toś ty myślał o Maryni, a ja myślałem, żeś ty trochę...

I resztę dokończył do ucha Polanieckiego, który zaczerwienił się z oburzenia i odpowiedział:

— Jak wuj może przypuszczać! Gdyby mi to kto inny śmiał powiedzieć...

— No, no, no! — odparł, śmiejąc się, Pławicki. — Niema dymu bez ognia.

Tegoż jeszcze wieczoru Marynia, żegnając się z Polanieckim, spytała:

— Czy mi pan nie odmówi jednej rzeczy?

— Co tylko pani rozkaże.

— Bo ja sobie dawno powiedziałam, że jeśli przyjdzie taka chwila, jak dziś, to potem pojedziemy razem do Litki.

— A moja droga pani! — odpowiedział Polaniecki.

A ona mówiła dalej:

— Nie wiem, co tam ludzie powiedzą, ale co nam do świata — prawda?

— Naturalnie! Mielibyśmy też na ludzi się oglądać! Z duszy serca jestem pani wdzięczny za tę myśl. Moja droga pani, moja... Maryniu.

— Bo ja myślę, że ona patrzy na nas i modli się za nas.

— Tak, to nasza mała patronka.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Do jutra.

— Do jutra, — rzekł, całując jej rękę — do pojutra, codzień, i do...

Tu dodał ciszej:

— I do ślubu.

— Tak! — odpowiedziała Marynia.

Połaniecki wyszedł. W głowie i w sercu czuł wielki zamęt myśli, uczuć, wrażeń, nad którymi panowało jedno główne pojęcie, że stało się coś niesłychanie stanowczego, że los jego został rozstrzygnięty, że czas namysłów, wahań się i zmian przeszedł, i że trzeba zacząć nowe życie. I to poczucie nie było mu nieprzyjemne, a nawet graniczyło z pewnem upojeniem, zwłaszcza gdy przypominał sobie, jak całował skroń i włosy Maryni. To *coś*, czego w jego uczuciu brakło, mała i ginęło w owem przypomnieniu prawie zupełnie — i Połanieckiemu zdawało się, że znalazł wszystko, czego do zupełnego szczęścia trzeba. «Tem się nie przesyć nigdy!» — myślał sobie, i wprost zdawało mu się, że to jest niepodobieństwo. Przytem myślał o dobroci Maryni, o tem, jaka ona jest pewna, jak na takim sercu i charakterze można budować, jak w życiu z nią nigdy nic nie może grozić, jak ona nic w niem nie zdepcze, nic nie zmarnuje, jak przyjmie za złoto to, co jest w nim złotem, jak będzie żyła dla niego, nie dla siebie — i tak myśląc, zadawał sobie w duszy pytanie: co mógł lepszego znaleźć? — i prawie dziwił się swoim dawnym wahaniom.

Jednakże czuł jednocześnie, że to, co ma

przyjść, jest zmianą tak olbrzymią, czemś tak bez miary stanowczem, że gdzieś, na dnie, w najgłębszym zakątku duszy, budził się w nim jakby niepokój przed owem szczęściem nieznanem.

Lecz nie wahał się: «Nie jestem ani tchórzem, ani niedolęgą — myślał. — Trzeba teraz iść naprzód, i pójść».

Wróciwszy do domu, spojrzal na Litkę i natychmiast otworzył się przed nim jakby nowy jasny widnokrąg. Pomyślał, że może mieć dzieci. Taką oto jasną, drogą główkę — i to z Marynią! Na samą myśl o tem serce poczęło mu bić żywiej — i do porywu zmysłów dołączyła się taka jakaś otucha życiowa, jakiej od dawnych lat nie zaznał. Czuł się prawie zupełnie szczęśliwy. Spojrzawszy wypadkiem na list Bukackiego, który przy rozbieraniu się wydobył z kieszeni, poczał się śmiać tak szczerze, że aż służący zajrzał ze zdziwieniem do pokoju. Polaniecki miał ochotę powiedzieć mu, że się żeni.

Zasnął dopiero nad ranem, ale wstał rzeźwy, wypoczęty i, ubrawszy się, poleciał do biura, by jak najprędzej zwiastować nowinę Bigielowi.

Bigiel uściskał go, następnie poczał ze zwykłą sobie powolnością rozważać sprawę i wreszcie rzekł:

— Biorąc na rozum, to jest najmądrzejsza rzecz, jaką w życiu zrobiłeś.

Poczem, ukazawszy na biurko z papierami, dodał:

— Te kontrakty powinny być korzystne — ale tamten jeszcze lepszy.

— Co? nieprawda? — zawołał chęlnie Polaniecki.

— Lecę powiedzieć żonie, — rzekł Bigiel — bo nie mogę wytrzymać, a ty sobie także idź, i idź na dobre. Będę cię zastępował do dnia ślubu i przez miodowy miesiąc.

— Dobrze — odpowiedział Polaniecki. — Lecę odwiedzić Maszkę, a potem jedziemy z Marynią do Litki.

— To jej się od was należy.

Polaniecki zakupił znów po drodze kwiatów, dołączył do nich wiadomość, że zaraz przychodzi, i wpadł do Maszki.

Maszko miał się pod opieką pani Krasławskiej znacznie lepiej i lada chwila spodziewał się jej przybycia. Tymczasem, wysłuchawszy nowiny, ścisnął rękę Polanieckiego z pewnem wzruszeniem i rzekł:

— Powiem ci tylko jedno: nie wiem, czy ona będzie z tobą szczęśliwa — ty z nią na pewno.

— Bo kobiety są lepsze od nas — odpowiedział Polaniecki; — spodziewam się, że po tem, co cię spotkało, i ty jesteś tego zdania.

— Wyznaję, że dotąd nie mogę ochłonąć ze zdumienia. Są zarazem i lepsze od nas i bardziej tajemnicze. Wyobraź sobie...

Tu Maszko zaciął się, jak gdyby się wahał, czy ma mówić dalej.

— Co? — spytał Połaniecki.

— Tak! ty jesteś dyskretny człowiek, a prztem dałeś mi takie dowody przyjaźni, że może nie być między nami tajemnic: wyobraź więc sobie, że wczoraj po twojem odejściu odebrałem anonim — tu, jak wiesz, panuje ten szlachetny obyczaj pisania anonimów — a w nim wiadomość, że papa Kraslawski istnieje, żyje i ma się dobrze.

— Co znowu? Może być plotka.

— Ale może i nie być. Żyje podobno w Ameryce. List odebrałem podczas bytności pani Kraslawskiej. Nie mówiłem jej nic, ale po pewnym czasie, gdy, po obejrzeniu tych oto portretów, poczęła mnie wypytywać o dalsze stosunki rodzinne, spytałem i ja ją z kolei: jak dawno jest wdową? Odpowiedziała mi na to: «Jesteśmy z córką same na świecie od dziewięciu lat, ale to są smutne dzieje, o których dziś nie chcę mówić». Uważ, że nie odpowiedziała wprost, kiedy jej mąż umarł.

— I co ty na to?

— Ja myślę, że jeśli papa żyje, to musi być

tego rodzaju figura, o której się nie mówi, i że to naprawdę mogą być «smutne dzieje».

— Tajemnica dawnoby się wydała.

— Te panie siedziały kilkanaście lat za granicą. Kto wie? Zresztą w niczem to moich zamiarów nie zmienia. Jeśli pan Krasławski siedzi w Ameryce i nie przyjeżdża tu, to musi mieć do tego dobre powody, więc tak, jakby go nie było. Owszem, teraz nabieram otuchy, że moje małżeństwo dojdzie do skutku, bo rozumiem, że gdy ludzie muszą coś ukrywać, wówczas mniej są wymagający.

— Wybacz mi moją ciekawość, — rzekł Polaniecki, biorąc kapelusz, — ale mnie chodzi o moją sumę, a teraz i o Pławickich; czy ty wiesz napewno, że te panie mają pieniądze?

— Powiem ci otwarcie: zdaje się, że i grube, ale jednak stawiam na kartę trochę zakrytą. Prawdopodobnie mają znaczną gotówkę. Matka powiedziała mi kilkakrotnie, że córka jej nie potrzebuje się oglądać na majątek męża. Kasę żelazną widziałem. Dom prowadzą duży. Znam w Warszawie prawie wszystkich Żydów i nie-żydów, którzy pożyczają pieniędzy, i wiem napewno, że nikomu grosza nie winne. Jak sam wiesz, mają ładną willę niedaleko od Bigielów. Z kapitału nie żyją, bo są na to za mądre.

— Pozytywnej cyfry jednak nie wiesz?

— Próbowałem wypytywać, ale z daleka. Nie będąc zbyt pewnym stosunku z niemi, nie mogłem bardzo naciskać. Dano mi do zrozumienia, że będzie ze dwieście tysięcy rubli, a kiedyś więcej.

Połaniecki pożegnał się i, idąc do Pławickich, myślał:

— Wszystko to są jakieś tajemnice, jakieś mroki, jakieś ryzyka. Wolę Marynię.

I w pół godziny później jechali z Marynią na cmentarz, do Litki. Dzień był ciepły jak na wiosnę, ale szaro; miasto wyglądało ponuro i brudno. Na cmentarzu topniejący śnieg opadał płatami na ziemię z grobów i odsłaniał żółkłą, nawpół przegniłą murawę. Z ramion krzyżów i z bezlistnych gałęzi drzew spadały duże krople, które zrywający się od czasu do czasu podmuch ciepłego wiatru rzucał w twarz Połanieckiemu i Maryni. Podmuchy owe szarpały jej suknię, tak, że musiała ją tłumić. Stanęli wreszcie u grobu Litki.

I tu wszystko było mokre, oślizgłe, posępne, nawpół obnażone z topniejącego śniegu. Myśl, że to dziecko, którego niegdyś tak strzeżono, takie kochane i pieśczone, leży teraz w tej wilgoci i piwnicznym mroku, nie chciała się Połanieckiemu prawie w głowie pomieścić. «Wszystko to może naturalne, — myślał — jednak ze

śmiercią niepodobna się pogodzić». I rzeczywiście tak było, że ilekroć odwiedzał Litkę, wracał z tego cmentarza z jakimś niepohamowanym buntem, z jakimś namiętym protestem w duszy. Te myśli poczęły go targać i w tej chwili; wydało mu się wprost strasznie kochać Litkę i pogodzić kochanie ze świadomością, że o kilka stóp poniżej ona tam leży, czarna i rozkładająca się. «Ja tu nie powinienem przychodzić, — mówił sobie — bo tu wściekam się, tracę głowę i wszelkie podstawy do życia». Przedewszystkiem jednak męczył się, bo jeśli o śmierci niepodobieństwem jest nie myśleć, równem niepodobieństwem jest coś wymyślić, i dlatego wszystko, co o niej przychodzi do głowy, jest, o ile człowiek nie wyciągnie rąk do prostej wiary, zarazem rozpaczliwem i płytkiem, oklepanem, pospolitem. «Mnie tu chodzi więcej niż o samo istnienie, a umiem sobie odpowiedzieć tylko komunałem. Zupelne kolo błędne!» I to była prawda. Jeśli bowiem myślał naprzykład, że na pierwsze wspomnienie o śmierci wszystko staje się dymem, i czuł, że, niestety, tak jest, czuł przytem, że tysiące ludzi zdobyły się na to pojęcie przed nim, i że nikt nie znalazł w tem ani otuchy, ani nawet takiego zadowolenia, jakie daje wykrycie prawdy. Wszystko, co mógł sobie powiedzieć, było zarazem straszne i miálkie.

Łatwo mu było rozumieć, że całe życie ludzkie, dzieje powszechne, wszelkie filozofie, są w gruncie rzeczy tylko walką ze śmiercią nieustanną, rozpaczliwą, zupełnie zrozumiałą i jednocześnie bezdennie głupią i bezcelową, bo z góry straconą. Ale takie rozumienie nie mogło mu przynieść żadnej ulgi, było ono bowiem tylko stwierdzeniem nowego koła błędnego. «Bo gdy jedynym celem wszelkich wysiłków ludzkich jest życie, a jedynym rezultatem śmierć, to bezsens przechodzi miarę, i poprostu nie możnaby go przypuścić, gdyby nie owa oczywistość obmierzła i niemilosierna, która istoty żywe i kochane zmienia w rzecz zgniłą».

Połaniecki za każdą bytnością na cmentarzu zatruwał się podobnemi myślami. Dziś, jadąc, sądził, że obecność Maryni uwolni go od nich tymczasem stało się raczej przeciwnie. Śmierć Litki, poderwawszy w nim ufność w sens i moralną celowość życia, podkopała właśnie w nim i tę pierwszą, dawną miłość do Maryni, tak naiwną i pozbawioną zwątpień; teraz więc, gdy wraz z Marynią stanął przy grobie Litki, gdy ta śmierć, która zaczęła być już tylko wspomnieniem, stała się znów czemś niemal dotykalnem, zatruwające jej działanie spotęgowało się znowu. Znowu mu się wydało, że całe życie, zatem i miłość, jest tylko obłudem, a zabiegi ży-

ciowe czemś zupełnie czczem i marnem. Jeśli nad życiem niema ani rozumu, ani miłosierdzia — to po co się trudzić, po co kochać, po co się żenić? Czy po to, żeby mieć dzieci, przywiązać się do nich każdą kroplą krwi, a potem patrzeć bezradnie, jak je owa ślepa, głupia, oburzająca i brutalna siła dusi, jak wilk jagnięta — i przychodzić do ich grobu z myślą, że pleśnią w ciemności i wilgoci. Ot, Litka tam przecie leży!

Dziwnie posepny dzień potęgował tylko gorycz tych poczuć. Czasami, za poprzednich bytności, cmentarz wydawał się Połanieckiemu jakąś wielką nicością, w której rozplywa się i wszelka niedola, czemś ogromnie sennem i kojącem. Dziś nie było na nim spokoju. Płaty śniegu osuwały się z pni i grobów; wśród mokrych drzew tłukły się z krakaniem wrony. Nagle i potężne podmuchy wiatru rzucały kroplami wilgoci, oderwanymi od gałęzi i, gnąc je, tworzyły jakąś rozpaczliwą szarpaninę wśród nieruchomych, kamiennych i obojętnych krzyżów.

Wtem Marynia przestała się modlić i rzekła takim stłumionym głosem, jakim się mówi na cmentarzach:

— Teraz jej dusza musi być między nami. Połaniecki nie odpowiedział nic, ale naprzód

pomyślał, że on i Marynia są istotami jakby z dwóch odrębnych światów, a następnie, że gdyby w tem, co ona mówi, była choć cząstka prawdy, to wszystkie jego duchowe rozterki byłyby mniej warte, niż ten topniejący śnieg. W takim razie — mówił sobie — istnieje umieranie i istnieją cmentarze, ale śmierci poprostu niema.

Marynia poczęła układać teraz wianki z nieśmiertelników, które kupili przed bramą, on zaś myślał śpiesznie, raczej za pomocą poczuć, niż za pomocą myśli:

— W moim świecie niema na nic odpowiedzi, są tylko kola błędne, które się staczają w przepaść.

I uderzyło go to, że gdyby takie pojęcia o śmierci, jakie miała Marynia, nie wypływały z wiary, albo gdyby były zupełnie nieznanne, i gdyby niespodzianie postawił je jaki filozof, jako hipotezę — toby tę hipotezę uznano za najgenialniejszą z genialnych — ona bowiem wszystko tłumaczy, na wszystko daje odpowiedź, rozświeca nie tylko życie, ale i śmierć, która jest ciemnością. Ludzkość klęklaby z podziwu przed takim mędrcelem i taką naukową teorią.

Z drugiej strony czuł, że jednak było coś z Litki między nimi. Ona sama rozsypywała się w proch, ale coś ją przeżyło; zostały jakieś

fale jej myśli, jej woli, jej uczucia. To, że on zbliżył się z Marynią, że byli narzeczonymi, że teraz stali przy grobie Litki, że się połączą, że życie pójdzie im razem, że będą mieli dzieci, które z kolei będą żyły, kochały i mnożyły się — czemże było, jeśli nie taką falą, która, wyszedłszy z tego dziecka, mogła iść i iść w nieskończoność, odradzając się w nieśmiertelnym łańcuchu zjawisk? Jakże tedy zrozumieć, by z istoty śmiertelnej wyszła nieśmiertelna i nieskończona energia? Marynia w prostocie swej wiary znalazła na to odpowiedź, Polaniecki — nie.

A jednak Marynia miała słuszość. Litka była między nimi. Polanieckiemu przeleciało teraz przez głowę jakieś niejasne i niezwykłe w ścisłą myśl przypuszczenie, że może wszystko to, co człowiek za życia pomyśli, wszystko, czego chce, wszystko, co przekocha, jest taką, stokroć bardziej nieuchwytną, stokroć subtelniejszą od eteru materią, z której powstaje jakaś astralna istota, świadoma sobie, i albo wieczna, albo przeradzająca się w istnienie coraz doskonalsze, subtelniejsze, aż do nieskończoności. I zdawało mu się, że atomy myśli i uczuć mogą się skupiać w odrębną jednostkę właśnie dlatego, że wychodząc z jednego mózgu lub serca, są sobie pokrewne, zatem dążą ku sobie z tej samej tajemniczej zasady, z jakiej skupiają się

pierwiastki fizyczne, by wytworzyć fizyczną jednostkę. Obecnie nie miał czasu nad tem myśleć, ale zdawało mu się, że czegoś dostrzegł, że w zasłonie, którą miał na oczach, utworzyła się jakaś mała szpara. Mogło się to okazać złudzeniem, ale w tej chwili czuł, że Litka jest jednak między nimi, mniemał, że obecność jej w taki tylko sposób może być zrozumiałą.

W tym czasie nadszedł jakiś pogrzeb, bo w dzwonnicy, stojącej na środku cmentarza, poczęto dzwonić. Połaniecki podał Maryni rękę, i poszli ku bramie. W drodze Marynia, myśląc widocznie w dalszym ciągu o Litce, rzekła:

— Teraz jestem zupełnie pewna, że będziemy szczęśliwi.

I przytuliła się silniej do ramienia Połanieckiego, bo zresztą i uderzenia wiatru stały się tak potężne, że trudno jej było im się oprzeć. Jeden z podmuchów obwinał jej woalkę naokoło szyi Połanieckiego. Rzeczywistość poczęła go wolać. Przyciskał oto do boku ramię kochającej kobiety i czuł, że kochanie, jeśli nie jest zdolne przesłonić śmierci, to przynajmniej godzi z życiem.

Wsiadłszy do karety, wziął dłoń Maryni i nie wypuszczał jej przez całą drogę. Chwilami wracała mu niemal zupełna otucha, myślał bowiem, że owe braki, jakie istniały w jego uczuciu, ta

słodka i dobra do gruntu dziewczyna potrafi wypełnić i wskrzesić wszystko, co zmarniało. «Moja żona! moja żona!» — powtarzał sobie w duszy, patrząc na nią, a jej pocziwe jasne oczy odpowiadały mu: «Twoja!»

Gdy zajechali do domu, pan Pławicki nie powrócił jeszcze z przedobiedniej przechadzki, znaleźli się więc sam na sam. Polaniecki siadł koło Maryni i pod wpływem tych myśli, które przechodziły mu przez głowę podczas drogi, rzekł:

— Pani powiedziała, że Litka była między nami — i to prawda! Ja zawsze wracałem jak ścięty z cmentarza, a jednak dobrze, żeśmy tam byli.

Marynia zaś odrzekła:

— Bo to tak, jakbyśmy jeździli po błogosławieństwo.

— Ja mam to samo wrażenie, i prócz tego, tak mi się wydaje, jakbyśmy już byli połączeni, a przynajmniej bliżsi sobie, niż przedtem.

— Tak — i to będzie i smutne i dobre wspomnienie.

Wtedy on wziął znowu jej ręce i rzekł:

— Więc jeśli pani ufa, że będziemy szczęśliwi, po co szczęście zwlekać? Moja dobra, moja najlepsza, i ja ufam, że nam będzie do-

brze; nie zwłóczmy ślubu. Mamy zacząć nowe życie, to je zacznijmy prędko.

— To niech pan postanowi. Ja całą duszą jestem pana.

Na to on przyciągnął ją, jak pierwszego dnia, i po chwili znów począł szukać ustami jej ust, ona zaś, czy to pod wpływem myśli, że jego prawa są dziś już większe, czy pod wpływem budzących się zmysłów, nie odwracała już głowy, ale, zmrużywszy oczy, sama podała mu usta, jakby spragnione oddawna.

KONIEC TOMU SIEDEMNASTEGO.





WYŻSZA SZKOŁA PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

78953

LP

Biblioteka WSP Kielce



0226137